

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 18. Warszawa, dnia 22 Kwietnia (4 Maja) 1876 roku. **Rok 12.**

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu	na prow. w Cesar. i Królest.
rocznie . . . . . rs. 6 k. „	rocznie. . . . . rs. 8 k. —
półrocznie . . . „ 3 „ „	półrocznie. . . . . rs. 4 k. —
kwartalnie. . . „ 1 „ 50	kwartalnie . . . . rs. 2 k. —
miesięcznie. . . „ „ 50	w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10. w Galicyi Złr. 11 cent. 50. w Prusach roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA, SKŁAD GŁÓWNY I EKSPEDYCYA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w *Poznaniu* w księgarni Leitgebera i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Społki, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

KILKA SŁÓW
o potrzebie większego rozpowszechnienia botaniki w kraju naszym,

przez

Erazma M.

Nareszcie doszliśmy do tego przekonania, iż znajomość przyrody jest niezbędną dla każdego człowieka, starającego się o podniesienie swej godności przez rozszerzenie zakresu wiedzy i baczącego na materyalne korzyści, mogące się powiększyć przez umiejętne postępowanie z przyrodą.

Przyroda jest wielką tajemniczą księgą, do której klucz daje nam nauka. Ona nam odsłania coraz bardziej tajniki praw, rządzących przyrodzeniem. Skarby jej są zdobyczą licznego zastępu pracowników: geniuszów, co wydarli niebu mnóstwo tajemnic, z których każda jest wyższą nad wszystkie ludzkie dzieła; męczenników nauki, nie wahających się na szali postawić swe życie lub dobrobyt za jedno z praw które badają, aby swe ziarnko dołożyć do ogólnego zbioru. Z tak zdobywanych rezultatów składa się cała historya naturalna! Dzieje nauk przyrodniczych są długim szeregiem zwycięztw nad uparcie skrywającą swe tajniki przyrodą — i zaprawdę są wspanialsze, niż dzieje zwycięztw ludów nad ludami, którymi się chełpią narody!

Z zaszczytnych kart tej księgi przemawia do nas sama przyroda, ujarzmiona niejako przez tych mężów nauki. Lecz jeszcze przyroda nie wydała wszystkiego co skrywa i więcej w niej jest do zrobienia niż już uczyniono!

Cały też zastęp mężów, rozdzieliwszy olbrzymią pracę na trzy osobne gałęzie: zoologię, botanikę i mineralogię, wciąż poświęca swe siły nad prowadzeniem dalej zaczętej przed setkami lat pracy, mającej na celu *poznanie przyrody*. Bo jakże rozległe są granice historyi naturalnej! Niezliczone twory ziemskie są przedmiotem badań w jej zakresie. Umysł pojedyńczego człowieka nie zdołałby ująć tej olbrzymiej całości wraz ze szczegółami. A przecież koniecznością każdego przyrodoznawcy jest znać gruntownie podstawy i zarysy całej nauki przyrody, aby można działać skutecznie w mniejszym zakresie tychże nauk.

Byłoby to zadaniem bardzo trudnem, lecz tu wystąpiła z pomocą systematyka, która wciąż udoskonalana, pozwala, mimo tej mnogości stworzeń, mieć zupełnie dokładne i zdrowe pojęcia o przyrodzie, nawet nie oddającemu się tej specyalności człowiekowi. Poznanie wszakże przyrody, choćby najdokładniejsze, nie jest ostatecznym celem tej nauki, tak jak w ogóle sama wiedza nie jest celem człowieka na ziemi. Owszem, celem pracowników na tem polu jest praktyczne zastosowanie nabytej wiedzy albo też rozwijanie samej nauki a przez to przygotowanie materyału, z którego później można będzie wywieść jakieś praktyczne zastosowania. Nie należy bowiem pogardzać żadną gałęzią wiedzy z tego powodu, iż nie daje bezpośrednich pożytków. „Wszystko, co nam rozjaśnia tajemnice natury, mówi doktor Helmholtz, posiada wartość, i może w swoim czasie przyniesie korzyść zwykle w takim miejscu, gdzieby się tego najmniej spodziewano.“

Lecz dosyć tego! Każdy z nas dostatecznie pojmuje znaczenie historyi naturalnej, która obok wzniosłej dążności, aby poznać i dokładnie zrozumieć działania i objawy sił przyrodzenia, nie jest bezużyteczną w praktycznem zastosowaniu tychże sił—i bodaj czy jest inna nauka, któraby roztworzywszy swój skarbiec i podawszy rękę chemii i fizyce, tyle przyczyniła się do udoskonalenia przemysłu i rolnictwa co ta! „Cóż widzimy pośród miast naszych, woła Virey, coby nie było płodem przyrodzenia? Te sprzęty, te tkaniny, czyliż nie są szczęśliwemi zdobyczami w państwach historyi naturalnej?“

Żadne z trzech królestw przyrody nie jest tak ważnem dla człowieka pod każdym względem jak roślinne. W naszym mianowicie kraju, przeważnie rolniczym, jest ono prawie wszystkiem.

Głębsza znajomość świata roślinnego jest dla nas niezbędną tak do prawdziwego rozwoju rolnictwa jak wszelkich gałęzi produkcyi świata roślinnego.

Czyliż nie staramy się zwykle dowiedzieć o człowieku, z którym zamierzyliśmy wejść w bliższe stosunki: kto on taki, jaki ma charakter i t. p., aby stosunki te postawić na najwłaściwszej stopie i nadając im odpowiedni kierunek, dojść do zamierzonych rezultatów.

Dla czegóż nie mamy tak postępować z przyrodą? Wszak ona daje nam wszystko a źle zastosowawszy jej dary, możemy ściągnąć złe skutki na siebie.

Z drugiej strony, wszystkie przecież trudy w celu zdobycia wiedzy są przedsiębrane dla dobra ludzkości. Lecz czyliż ta wiedza ma być udziałem szczupłej liczby wybrańców, którzy ją uprawiać mają? Toby było podobnem do roboty górników, którzy z wielką usilnością zwalczając liczne przeszkody, otwierają szyby do wnętrza ziemi, do kopalń obfitych w bogate kruszce, ale których niktby nie eksploatował, bo to wymaga pewnej znajomości górnictwa. Takim sposobem najpiękniejsze zastosowania odkrytych wiadomości leżałyby bezużyteczne. Czyliżby miały być lepsze średniowieczne czasy, gdy wiedzy nie tylko nie popularyzowano ale starano się jej owoców nie wypuszczać poza obręb pracowni, w której powstały? Nie! Jeżeli są ludzie przodujący nauce i oddający się jej wyłącznie z powołania, to obowiązkiem każdego jest aby mu to przynajmniej obcem nie było.

Poznawanie przyrody zawsze i w każdej okoliczności więcej przynosi umysłowej i duchowej korzyści niż się to może pozornie zdawać. Człowiek, zapuszczając się w świątynię tajników stworzenia, jako jego członek czuje iż podlega wszechrządzącym prawom przyrody, lecz jako duch, wznosi się nad nią, ujarzmia ją stosownie do swych potrzeb i celów! Usamodzielnia się on i wywyższa w obec przyrody i trafniej może ocenić swoje stanowisko! Dobrze to te wszechstronne korzyści zrozumiały zachodnie narody i tam dążność do poznania nauk przyrodzonych jest silnie rozwinięta we wszystkich prawie klasach społeczeństwa. To też widzimy do jakich rezultatów doszli oni tą drogą.

Młodzież nasza, jakże łatwo i z przyjemnością mogłaby uprawiać botanikę.

Ileż to czasu przechodzącego często bezużytecznie mogłaby przyjemnie przepędzać nad poznawaniem krajowych roślin, studyowaniem ich życia, własności. Tembardziej, że w tego rodzaju zajęciach pierwsze miejsce zajmują ekskursye botaniczne na pola i w lasy, gdzie się czas spędza mile i pożytecznie, gdyż rozwija się na świeżem powietrzu i w ciągłym ruchu ciało i umysł a w determinowaniu znalezionych roślin wyrabia się niedouwierzenia skuteczna bystrość, spostrzegawczość i wiele innych koniecznych a rzadkich przymiotów umysłu.

Zresztą jakże silne mamy jeszcze inne pobudki ku zwróceniu swej większej uwagi na to pole! Nasz kraj stosunkowo do zachodnich jest tak mało znany pod względem przyrody, że istnieje wiele odgałęzień w tej nauce zupełnie niedotkniętych polskiem piórem!

Przejrzyjmy katalogi zagranicznych dzieł; ile tam znajdziemy popularnych, elementarnych podręczników i dziełek, poświęconych dla młodzieży, zachęcających ją i dających praktyczne wskazówki jak mają się rozpatrywać w księdze przyrodzenia, jak z niej duchowy czerpać pożytek. To też dla tego, ponieważ każdy miał zwróconą uwagę między innemi i na ten przedmiot, znaleźli się tacy, co zamiłowawszy go, zbywające od obowiązków chwile poświęcali na przysługiwanie się krajowi swemi pracami. Stąd to tam, w każdej specyalności botaniki widzimy po kilkanaście dzieł, podczas gdy u nas można na palcach wyliczyć krajowych przyrodników. Tacy: X. Kluk, X. Jundziłł, Andrzejewski, Besser, Leśniewski są filarami przyrodoznawstwa naszego z początków naszego wieku a i w naszych czasach, zaledwie kilkunastu możnaby przytoczyć. Lecz nie traćmy nadziei. Jak nie byliśmy w zupełności pozbawieni ludzi zamiłowanych w tej nauce, choć wprawdzie szczupła była ich liczba. tak nie brak nam gorliwie pracujących na tem wdzięcznem polu. Zresztą od niejakiego czasu i u nas nadzwyczaj widocznie czuć się daje zwrot ku temu w zaniedbaniu u ogółu zostającemu dotąd przedmiotowi. Miejmy więc nadzieję iż to pole dla swej obszerności, leżące prawie odłogiem, wkrótce zacznie być przedmiotem zajęcia wielu jednostek i możemy doczekać się tej błogiej chwili, w której zrównamy się tak wiedzą jak i zasobami literatury nauk przyrodzonych z naszymi sąsiadami.

W nadziei, że niniejsze kilka słów, płynących z serca mogą kogoś zainteresować, jak niemniej ze względu, iż niektórzy mogą mieć jakąś trudność o wyborze podręczników, przytoczę tu krótki spis celniejszych dzieł naszych z pomocą których można studyować botanikę a głównie florę krajową.

Dział botaniki elementarnej jest dość obfitym stosunkowo do innych odnóg. Szczególniej w ostatnich paru latach wzbogacił się kilkoma pożytecznemi dziełami. Z nich wspomnę nowsze:

Botanika D-ra Schoedlera w przekładzie *F. Berdau 1874 r.* Bardzo ją zalecamy, dla chcących poznać główniejsze zasady botaniki. W małej objętości są tam pomieszczone wszystkie działy botaniki jak: Anatomia drobnowidzowa, fizyologia, morfologia, geografia roślin, systematologia i część opisowa zastosowana głównie do flory krajowej.

Botanika D-ra Pokornego 1874, jest dziełkiem wzbudzającem zajęcie dla wielu ciekawych szczegółów, lecz może być użyteczną dla tych, co ogólną botanikę cokolwiek poznali. Przeczytawszy poprzednio dziełko Schoedlera więcej można z niej skorzystać. Wybornem do praktycznego zaznajomienia się z królestwem roślin, jest nowa *botanika B. Jerzykiewicza*. System porównawczy, w jakim jest prowadzona, rozwija bardzo umysł, sprzyjając dokładniejszemu zrozumieniu, na czem polegają cechy różnicowe w opisach roślin. Do tego działu można zaliczyć piękne dziełko dla młodzieży napisane przez autorkę Wieczorów czwartkowych *„Obrazy świata roślinnego.“* Liczne drzeworyty ozdabiają wspomniane dziełka.

Dla chcących dalej studyować tę zajmującą naukę, mogą służyć następne poważne dzieła.

Wykład botaniki A. Jussieu'a w tłom. *T. Chałubińskiego 1849*, w którym znajdują się wszystkie dotychczasowe spostrzeżenia nad fizyologią, anatomią i morfologią roślin.

Życie roślin, Figuera w przekładzie *J. Wagi* tomów 3, również obszerne jak ciekawe.

Botanika ogólna D-ra R. Czerwiakowskiego jest wielce naukowo opracowanem i nadzwyczaj pożytecznem, lecz niestety zupełnie wyczerpanem dziełem. Toż samo ma się z jego sześciotomową *Botaniką szczególną*, przy najzupełniejszem opisaniu wszystkich ważniejszych roślin i ułożeniu podług naturalnego systematu Endlichera.

Kosmiczną botanikę prawdziwie mistrzowsko skreślił *Karol Müller* w dziełku *„Świat roślinny,“* które *Witowski* swym czystym i pięknym językiem przełożył na język ojczysty i uczynił z tego jedną z najpiękniejszych pereł w literaturze tego rodzaju. To dziełko nie dosyć jest uznawać trzeba uwielbiać. Wyczerpuje ono cały urok wszechstronnych studyów nad przyrodą i wzbudza zamiłowanie do botaniki swoją prostotą i wielkością zarazem. Teraz następuje dział, opisujący florę krajową. Jest on stosunkowo do tego czem być powinien, najuboższym.

Przejrzyjmy te utwory. Wszystkie są z wielką sumiennością opracowane — wszakże liczba ich za mała, mogłaby być bez wszelkiego nadużycia w trójnasób większą. W tych dziełach znajdujemy z jednej strony florę Jawnopłciowych (Phanerogama), roślin dość dokładnie zbadanych, dzięki usilnym pracom zasłużonych: *Jakóba Wagi* [1]), *W. Bessera* [2]), *Jundziłłów*, młodszego i starszego [3]), *F. Berdau* [4]), *Zawadzkiego* [5]) i kilku innych [6]). Dział wszakże skrytopłciowych (Cryptogama) roślin, jest prawie niedotknięty, i jedynie w florach Jundziłłów znajdujemy dość dokładne, ale przestarzałe i teraz już prawie nieużyteczne opisy. Bo też od czasu w którym pisali, gałęź botaniki postąpiła za granicą.

Zapewne nie mały wpływ na ten zastój wywiera prawie zupełny brak nomenktatury i terminologii polskiej w tym kierunku i jedyną książkę, w której znajdujemy najgłówniejsze terminy — jest pierwszy tom *botaniki szczególnej* D-ra Czerwiakowskiego [7]). Niezmordowany ten naturalista największe, można powiedzieć zasługi położył na polu ustanowienia nomenklatury i języka botanicznego polskiego. Takich ludzi bodajby było u nas jak najwięcej! A zatem znamy już stan naszej przyrodniczej literatury. Zrozumieliśmy, ile nam jeszcze brakuje i zarazem jak naszą powinnością jest, o ile zakres działania każdego dozwala, sprzyjać jak największemu rozpowszechnieniu się tej nauki. Bo ludzie oddający się nauce w celu jej rozwijania — mają szerokie pole w uzupełnieniu literatury botanicznej krajowej — ogół zaś, w zastosowywaniu jej praktycznem we wszelkich możliwych gałęziach.

Dla dobra więc ogólnego, krajowego, popierajmy w młodzieży — w tych przyszłych obywatelach kraju, dążenia pożyteczne, a jednem z takich jest zwrócenie baczniejszej uwagi na botanikę.

---

[1]) Flora polska, J. Wagi. t. 2 — 1848 rok. tom trzec ukaziciel przez A. Wagę.

[2]) Primitiae florae Galitiae Austriacae 1809 partes 2. (wyczerpane).

[3]) Opisanie roślin w W X. Litewskiem dziko rosnących przez B. Jundziłła 1791 i Opisanie roślin na Wołyniu, Podolu i Ukrainie dz. rosn., przez Józefa Jundziłła 1830

[4]) Flora okolic Krakowa, przez F. Berdau. 1851.

[5]) Flora Lwowa. Opisywana również przez Tomaszka: Flora d. umgebung von Lemberg 1862.

[6]) jak: Kroker, Dembosz, Kluk, Gilibert i inni.

[7]) Pod tytułem „Opisanie roślin skrytopłciowych,“ Kraków 1841.

ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile... w czynie.

XVIII.

W przeszłym tygodniu słyszeliśmy w Teatrze Wielkim „Violetę.“

— To nic wielkiego, odpowie nam czytelnik.

Prawda, że nic wielkiego. Violeta jest u nas na wszystkie, jak to mówią strony i boki ograną. Nie tylko teatr, ale wszelkie fortepiany, nawet i katarynki grają wszystkie części i cząsteczki tej opery; co więcej, uliczniki wygwizdują je. To także nic dziwnego, bo to perła, że się tak wyrazimy, muzyki romantycznej Verdiego, wielkie bogactwo melodyi, płynącej do ucha i duszy każdego. Lecz są to rzeczy znane, więc nie o tem chcieliśmy mówić.

— A o czemże, zapytają?

O tem, że nie mamy pod dostatkiem odpowiednich sił wokalnych....

— A toś nam znów nowinę powiedział, zawoła niecierpliwiąc się czytelnik. Proszę o chwileczkę posłuchania. Otóż, nietylko nie posiadamy pod dostatkiem odpowiednich sił wokalnych, ale często skarżymy się na brak takowych. Lecz nie bądźmy bardzo wybredni, umiejmy, tak mówiąc szczerze, więcej szanować talenty i zdolności miejscowe i nakoniec dajmy czas młodym talentom i zdolnościom wokalnym do wyrobienia się, bo słusznie mówią „że nie od razu Kraków zbudowany.“

Przy posusze, przynajmniej dziś, barytonowej, p. Józef Szczepkowski (syn) znów wstąpił na deski sceny warszawskiej po powrocie z Kijowa i występował dwukrotnie: piewszy raz w „Halce“ w roli Janusza, drugi raz w „Violecie,“ o której powyżej mówimy z powodu właśnie występu p. Szczepkowskiego (syna). Tak pierwszy występ w Halce jak i drugi w Violecie w roli Germonta, powiódł się zupełnie p. Szczepkowskiemu. Pamiętamy w roli Germonta sympatycznego śpiewaka naszego Kölera, który bardzo wdzięcznie podejmował wzmiankowaną partyę, tem bardziej więc wymagającymi stajemy się, ażeby na nowej egzekucyi partya ta, tak co do swego charakteru jak niemniej co do siły nie straciła. Powiedzieliśmy że p. Szczepkowskiemu (synowi) powiodło się w tej partyi, nie znaczy to by on dorównał już czy to Kölerowi czy innemu utalentowanemu a wyrobionemu i doświadczonemu śpiewakowi, na co potrzeba wielu lat pracy, a czego rozumie się p. Szczepkowski (syn), jako młody i początkujący artysta, mieć nie może, — ale znaczy, że p. Szczepkowski w zakresie sił swoich oddał partyę Germonta wdzięcznie, z odpowiedniem uczuciem i pojęciem charakteru, trzymając się w traktowaniu partyi z pewnem umiarkowaniem, dowodzącem intelligentnego poczucia i pewnego wyrobienia w młodym śpiewaku. W ogólności o głosie p. Szczepkowskiego powiedzieć można, iż od czasu poprzednich wystąpień na scenie naszej do dziś wzmocnił się, nabrał większej pewności i tego artystycznego kolorytu, dobywanego miękością a raczej elastycznością głosu. Do tego warunku pomaga bardzo p. Szczepkowskiemu niezmiernie rozległa skala głosu, którą posiada. W tonach bowiem nizkich głos ten wchodzi w skalę basową, a w tonach wysokich wkracza w skalę tenorową. Jest to fenomen, którego nie poskąpiła natura p. Szczepkowskiemu, a z czego korzystać powinien i zapewne skorzysta. Dziś widzimy u p. Szczepkowskiego pewne postępy wokalne od czasu poprzednich jego wystąpień na scenie naszej w roku zeszłym, — tem pewniej więc spodziewać się postępów na przyszłość mamy prawo. Pan Szczepkowski ma dużo jeszcze czasu przed sobą, posiada wdzięczny materyał głosu, rozumie muzykę, a nadto pierwsze kroki wokalne stawiał pod kierownictwem wytrawnego nauczyciela, jakim jest p. Ziółkowski. To wszystko cośmy powiedzieli, wiele bardzo przemawia za p. Szczepkowskim i należą mu się słowa zachęty do wytrwałej pracy na tej artystycznej niwie, do czego p. Szczepkowski posiada odpowiednie warunki. Te słów kilka o śpiewie p. S. wypowiadamy z tem przekonaniem, że p. S. jako intelligentny artysta rozumie dobrze, iż słowa pochwały i zachęty dla młodego artysty bezwarunkowo obowiązują go tylko do niezmiernie wytrwałej i postępującej pracy. Wszelki zaś cień zarozumienia o sobie (o co nie posądzamy ani na chwilę p. S.), tamowałby postęp na każdej, a tembardziej na artystycznej niwie.

* * *

Otrzymaliśmy następującą korespondencyę którą w całości zamieszczamy:

„Nastręczyła mi się uwaga, dla czego dzieci, brane na wychowanie przez obce dla nich osoby, najczęściej, dorastając do lat młodzieńczych, odpłacają się niewdzięcznością i przeważnie mają charakter skryty i fałszywy. Zwykle za przyczynę tego dają brak miłości rodzicielskiej.

Zdanie to wedle mego przekonania o tyle tylko jest sprawiedliwe, że samo przywiązanie rodzicielskie nie raz zastępuje rozum, w trafnem wychodzeniu z dziećmi. Rzeczywistą zaś przyczyną, złego wykształcenia wychowańców jest to, że opiekunowie biorą ich w widokach własnej przyjemności. Biorący na wychowanie obce dzieci, czynią to najczęściej dla tego, że nie mają własnych i zdaje im się, że przyjemność jaką sobie wyobrażają gdyby mieli własne dzieci, zastąpią przybraniem obcego dziecka. Ta więc myśl o przyjemności przewodniczy później w całem ich obejściu z dzieckiem.

Wymagają od dziecka żeby było zabawne, grzeczne i miłe, jednem słowem, żeby ich bawiło, a każdy wybryk dziecka i przeciwne wymaganiom zachowanie się, choćby to wszystko pochodziło z bardzo naturalnych powodów a mianowicie z wrodzonego temperamentu dziecka, uważają za czyn karygodny nieulegający przebaczeniu. Dzieci bywają pojętne i łatwo zrozumią czego od nich wymagają. Naginają więc swoje naturalne usposobienia do robienia tego, co się ich przybranym rodzicom podoba, skaczą i są ciągle wesołe, choćby były z natury powolne i smętne, a tym sposobem od dzieciństwa wyrabiają w sobie fałsz i obłudę. Później kiedy dorosną i niepotrzebują już opieki, wynagradzają sobie ten przymus moralny doświadczany w dzieciństwie, i okazują niechęć ku swoim opiekunom, jaka się zwykle objawia tym, którzy nas ciemiężyli. Opiekunowie zaś, mając siebie za dobrodziejów, nie za ciemięzców, uważają to za niewdzięczność, gdy tylko za naturalną konsekwencyę ich postępowania przyjąć winni. Przywiązanie rodzicielskie dla tego nie raz bezwiednie chroni dziecko od wyrabiania w nim fałszu, że rodzice, skutkiem naturalnego przywiązania do dziecka, cieszą się z takiego jakie mają, i czy ono jest smutne lub wesołe, nie wymagają od niego nienaturalnego postępowania.

Niech rozum zastąpi u osób obcych to, co u rodziców wypływa z samego nieraz przywiązania; niech nie wychowują w tem przekonaniu, że te dzieci powinny dla nich stanowić zabawkę i tym sposobem wypłacać się za doznane dobrodziejstwa, to wychowańcy ich nie będą się odznaczać mniemaną niewdzięcznością.

Zdanie moje objaśnię przykładem. Syn mój wystrojony przez matkę i zaprowadzony przez nią do publicznego ogrodu, na pierwszym zaraz wstępie zrażony został widokiem zebranych w tym ogrodzie dzieci, które pod opieką samych piastunek zostając, nawzajem sobie dokuczały, w sposób bardzo dotkliwy, a sprawiający serdeczną pociechę ich dozorczyniom. Od tego czasu stracił ochotę do spacerowania po publicznym ogrodzie i nie był do tego zmuszany. Gdyby to była jego nie własna, lecz przybrana matka, pewnie zmusiłaby go do tych spacerów, a później miałaby jeszcze pretensyę do jego wdzięczności za to, że mu kazała używać świeżego powietrza tam, gdzie sama a nie dziecko miała przyjemność. Nie mogę pominąć jeszcze jednego zdarzenia w tutejszych stronach, chociaż to zdarzenie jako bardzo wyjątkowe, nie ma prawie naśladowców. Pewien zamożny obywatel wziął na wychowanie dziecko bardzo ubogich rodziców i otoczył go wygodami, jakichby i własnemu nie odmówił dziecku. Opiekun cieszył się z uległości dziecka, bo to jest główny przymiot, którego się wymaga od wychowańca, lecz skończyła się ta uległość z oddaniem do szkół. Chłopiec dla braku zdolności nie mógł celować w naukach, a za takie nieposłuszeństwo wypędził go opiekun, od razu z panicza tworząc pastucha; bez względu na to, że taka raptowna zmiana szkodzić może zdrowiu nawet zwierząt nie tylko ludzi.“

* * *

Bodajto kulturträgerska cywilizacya, o której tak hałaśliwie krzyczą na wsze strony Prusacy. W poparciu podajemy czytelnikom naszym fakcik, o jakim donosi *Kuryer Warszawski*.

W Helenabrunni w Prusach Nadreńskich nauczyciel wymierzył policzek uczniowi swemu, który po powrocie do domu zachorował śmiertelnie i padł bez życia. Przeciwko nauczycielowi zarządzono śledztwo sądowe. Fakt taki podobno nie jest już pierwszym, a o ile jest oburzającym nad wszelki wyraz, komentować byłoby zbytecznem.

* * *

Od dnia 7 maja rozlegać się będą w Dolinie Szwajcarskiej dźwięki doborowej orkiestry Fliegego, złożonej z 50 osób i trwać mają przez cztery miesiące. Wiadomość ta dla Warszawy jest bardzo pożądaną, bo spacerek ładny i muzyczka przyjemna.

* * *

Komitet warszawskiego muzeum przemysłowego krząta się bardzo starannie około wprowadzenia w życie tej instytucyi. Jako pierwszy krok na drodze rozwoju takowej jest założenie pracowni chemicznej przy ulicy Miodowej pod Nr. 4, pod zawiadywaniem pana Napoleona Milicera. W pracowni tej mają być dokonywane dla rolników i przemysłowców rozbiory chemiczne materyałów, ziemi rolnej, gliny, nawozów naturalnych i sztucznych, torfu, rud, spłynów metalicznych, soli mineralnych i kwasów, farb mineralnych, materyj organicznych, wody etc. Nadto mają być urządzone w lokalu muzeum, w miesiącach sierpniu i wrześniu dwie wystawy czasowe. Jedna z nich obejmować ma wyroby metalowe, a druga wyroby ze skóry. Odznaczające się tam ekspozycye nagradzane będą pieniężnie lub listami pochwalnemi. Podobna stacya doświadczalna i takie wystawy bardzo są dla nas pożądane. Szczerze więc życzymy powodzenia i szybkiego rozwoju tej nowej i pożytecznej instytucyi.

POCAŁUNEK.

obrazek dramatyczny w 1-ym akcie oryginalnie napisany.

(dokończenie).

Scena VI.

Jerzy sam.

Jerzy. Dziwna rzecz, ja, który groźniejsze chwile losu umiałbym podjąć z krwią zimną, czuję niejakie wzruszenie, rodzaj lekkiego drżenia nerwowego, gdy się zbliża chwila ujrzenia jej, tej młodej niewinnej duszy, tego anioła. A jednak widok jej, rozmowa z nią, to balsam na rany moralne, to moje szczęście, to moje niebo. O Klaro przybądź, ukaż mi się aniele! Widok twój to czarowna dla mnie wizya,... tak, tylko wizya. Wolno mi marzyć o tobie, ale nic więcej. Fatalny losie, — ileż pogardy winienem ci za szyderstwo, jakim słodzisz me życie. Jestem człowiekiem, a nie wolno mi używać praw ludzkich, bo bankocetle mają być motorem życia, one dają kwalifikacyę do używania tych praw; a ja ich nie mam. Pracuję bo praca jest dźwignią społeczną... Jestem dla pracy z wysokiem uznaniem, lecz cóż praca daje mi wzajemnie?....... Niestety, najszlachetniejsze zamiary, najpiękniejsze projekty, cudne marzenia rozbić się mają o twardą niewzruszoną konieczność, o zimny materyalizm. Nie pragnąłem nigdy zbytków, skromne położenie materyalne dostatecznem było dla mnie, ale dziś pragnąłbym mieć więcej jak dla siebie tylko, bo widzę w oddaleniu przecudny obraz, niby jutrzenkę szczęścia, ale sięgnąć po niego czyż mogę się odważyć? Podobny jestem do spragnionego, któremu w puszczy, podczas skwaru słonecznego, ukazuje się zdrój, pieszczący nadzieją ochłodzenia go... nadzieją tylko. O Klaro! pozostaw mi choć nadzieję, pozwól mi patrzeć na siebie, pozwól mi kochać cię........ Co ona myśli o mnie? Nie badałem jej jeszcze, nie mam odwagi. Dziwny bo wpływ wywiera na mnie to prześliczne serce, urok jakiemu ulegam podczas rozmowy z nią, zaciera moję świadomość o sobie; widzę ją tylko, myślę o niej, żyję w niej. Ona jest starszą siostrą duszy mojej.........

Żyję w nadziei a nie mam nadziei — dwa światy: marzeń i rzeczywistości łączę dziś w sobie. Pierwszy otwiera do mnie ramiona a drugi szydzi ze mnie. Dziwne me położenie..... Czy ona kocha?.... Boję się, a pragnę wiedzieć. Zapytać ją?.... O nie, czyż mógłbym zakłucać spokój tego anioła, jeśli jej serce oddycha swobodnie? A może bije, ale nie dla mnie...... Jakież ja mam podstawy materyalne?.... Smutne myśli.... (zamyśla się, — wchodzi Klara niepostrzeżona i nie widząca Jerzego).

Scena VII.

Jerzy, Klara później Wiktor.

Klara (zbliżając się wolnym krokiem do biórka, urywa listki kamelii upuszczające je na ziemię). Przyjdzie, nie przyjdzie; przyjdzie, nie przyjdzie, przyjdzie..... nie nie mogę.... O biedna kamelio, ty biała moja wróżko, usychasz w mem ręku przezemnie. O nie, żyj jeszcze (siada przy biórku podpierając ręką głowę). Biedne serce, cierpisz. Gdyby on wiedział.... Nie, lepiej niech nie wie, jeżeli oddech mej duszy nie znalazł echa w jego sercu. Tak, lepiej niech nie wie, możeby uczuł litość dla mnie.... o precz, precz myśl podobna — to jest granica wystawiona z duszy niewieściej. Ja nie chcę litości, odpycham ją (Jerzy słuchając, powstaje, nieco zdziwiony, okazując na przemian obawę i zachwyt).

Jerzy (n. s. d. s.). Klaro, ty cierpisz!

Klara (jak wyżej). Gdy się zapuszczam w krainę marzeń, jakiż on piękny, szlachetny staje przedemną. Wszak on ma serce... ma potęgę myśli, potęgę czucia. Ileż to drogich brylantów zasiał w moje serce, a w iluż kwestyach rozjaśniał me pojęcia. O sobie nigdy nie mówił, odsłaniając prześliczną swą duszę, był niejako w obawie, ażeby nie posądzono go o nią. To nazbyt szlachetnie. O ideale marzeń moich, o Jerzy mój, jak ja cię kocham!

Jerzy (zachwycony postępuje kilka kroków). Cudowna chwila rozkoszy! (rzucając się na kolana przed Klarą chwytając jej rękę). O Klaro! ty bóstwo moje!

Klara (zadrżała wydając okrzyk). O Boże mój! on słyszał! Jerzy tyś przy mnie!

Jerzy. O tak urocza! serce, dusza, życie moje wszystko dla ciebie.

Klara. On mię ukochał!

Jerzy. O mój aniele, tyś niebem mojem! Jakąż miłością serce przepełnione składam u nóg twoich. Kocham cię, tyś duszą duszy mojej! W tym nadmiarze szczęścia jakie spłynęło na mnie w tej chwili, chyba samo niebo zazdrościć by mi mogło.

Klara. Nie mów pan tego. Niebo to szczęście zesłało dla nas — jemu podziękować winniśmy.

Jerzy. O tyś moim aniołem stróżem, czuwaj wiecznie nad mą duszą. Tobie winienem odrodzenie me. Już wątpiłem o świecie, ludziach, szczęściu, nawet o wszystkiem.

Klara (kładzie dłoń na usta Jerzego). Nie wolno Jerzy.....

Jerzy. Tak, tyś mię odrodziła, wydobyłaś mię z upadku, gdym już wątpił o wszystkiem. O aniele marzeń moich, — dziś pragnę życia, całą potęgą miłości dla ciebie oddycham.

Klara. O Jerzy tak wiele szczęścia, — radości (po chwili). Ale tyś mię podsłuchał....

Jerzy. Klaro moja, tej szczęśliwej chwili zawdzięczam, że klęczę przed tobą, że otwieram ci serce moje.

Klara. O mój najdroższy, wszak każdej chwili mogłeś mi dać to szczęście.

Jerzy. Nie śmiałem, byłem w obawie, a miałem powody.....

Klara. Jerzy mój, czy to się godziło? Ty któryś rozjaśnił przedemną drogę prawdy, wpoiłeś we mnie tyle pięknych myśli, zbudziłeś mego ducha — byłeś jakoby drugą matką dla mnie, i ty chciałeś mię wydziedziczyć ze szczęścia; może dla tego, że mam trochę majątku, a ty go nie masz, ale masz serce i rozum, to jest więcej niż ja posiadam. Ty mi więc dajesz szczęście — ja ci się odwzajemniam. O miły, szlachetny Jerzy, ty mnie pojmujesz...

Jerzy (w uniesieniu). O moja święta! mów tak, mów ciągle, to szept jasnej, niewinnej twej duszy.

Klara (z uczuciem). Tyś mój jedyny, tyś wszystkiem dla mnie.

Jerzy. Powtórz aniele, powtórz, że mię kochasz. Jakaż to rozkosz oddychać tchnieniem serca twego.

Klara (w uniesieniu pochyla się). Najdroższy mój, żyć dla ciebie i w tobie. (całuje go w czoło).

Wiktor (który w tej chwili stanął we drzwiach od salonu, spostrzegłszy to szyderczo się zaśmiał). Jesteś prześliczna żmijko i ty moralisto — O zemsty! (znika).

Klara (zadrżała powstając z krzesła). Zdaje się, żem usłyszała jakiś szelest.

Jerzy (szybkim ruchem idzie ku drzwiom i wraca). Nikogo nie było — tam się bawią, tańczą, zapomnieli o nas.

Klara (biorąc za rękę Jerzego). Chodź pan, pójdziemy tam — teraz już będę tańczyć.

Jerzy. Toś pani nie tańczyła jeszcze?

Klara. Czekałam na pana.

Jerzy. O droga pani!

Klara. Chodźmy już (zatrzymuje się).

Jerzy. Ty drżysz pani?

Klara. To zbytek szczęścia.

Jerzy. Napij się pani wody, to złagodzi wzruszenie, zaraz ci przyniosę (chcąc odejść, spotyka lokaja niosącego limoniadę na tacy), (do lokaja). Dajno szklankę.

Lokaj. Oto jest limoniada, proszę pana.

Jerzy (podając limoniadę Klarze). Napij się pani.

Klara (pije, poczem oddaje szklankę Jerzemu, który ją stawia na tacy). Dziękuję, już mi lepiej. Teraz chodźmy (odchodzą).

Lokaj (wypijając parę szklanek limoniady). Jaka by to ładna para była z tych młodych.

Nasza panienka uśmiecha się do niego, ale bo też to dobry pan (Wchodzi Wiktor).

SCENA VIII.

LOKAJ, WIKTOR później ARTUR.

WIKTOR (n. s.). Jestem wściekły (do lokaja). Dajno ponczu.

LOKAJ. To limoniada proszę pana, ale mogę zaraz zrobić — mam tu arak, to doleję i będzie poncz, wprawdzie zimny, ale dobry.

WIKTOR. To dobrze, byle mokry (Lokaj podaje poncz i odchodzi. Wiktor wypija). Zimny ale dobry, miał fagot racyę...... Ha, złapałem was nadobna paro na gorącym uczynku. Ty śliczna pani odpychasz mię dla niego — rzucasz mu się w objęcia i namaszczasz mu skronie gorącym pocałunkiem. Poczekaj, cały świat będzie o tem wiedział, zemszczę się... o zemszczę! A on — ten hołysz — poeta, ten moralista, który przed chwilą gromy na nas rzucał, — on klęcząc, w pół ją obejmuje. Ha, ha, ha, warte jedno drugiego. Szkoda tylko jej dwóch kroć sto tysięcy. Strasznie głupio los rozporządza kapitałami (Wchodzi Artur).

ARTUR (wesoło). Ty znów tu — przecież tańczymy wizawi z tobą. Cóżeś tak nos na kwintę spuścił? No, chodź tańczyć.

WIKTOR. Bierz diabli taniec, idź tańcz, jeśli ci tak wesoło — ja już jestem zmęczony.

ARTUR. Ależ Wiktorku, co ci się stało, zamówiłeś do kontredansa pannę Julię, a teraz nie chcesz tańczyć.

WIKTOR. To sobie tańcz z nią. Ja jestem zmęczony.

ARTUR. Ależ ja mam już damę.....

WIKTOR. To tańcz z jedną i drugą, będziesz wyglądał jak osioł z rogami, to ci będzie do twarzy.

ARTUR (śmiejąc się). Czyś ty zwaryował Wiktorze. Jak widzę wlazło ci w nos jakieś licho.

WIKTOR. Masz racyę — ale i tobie wleść może.

ARTUR. Nie bój się o to.

WIKTOR. Właśnie że się boję.

ARTUR. Nie rozumiem cię. Cóż się stało?.... Mówże mi zaraz.

WIKTOR. Ale żebyś nie miał później pretensyi do mnie.

ARTUR. Bądź spokojnym.....

WIKTOR. Więc chcesz?

ARTUR. Ależ mów u diabła, bo mnie zaciekawiasz.

WIKTOR. W istocie to bardzo ciekawe. Przed chwilą tu, w tem miejscu, on klęcząc, obejmował ją w pół, a ona... ona złożyła gorący pocałunek na jego czole. Co było przedtem, albo co potem będzie, ja nie wiem — to tylko widziałem co mówię.

ARTUR (parskając śmiechem). Ha, ha, ha, zwaryował ten chłopiec.

WIKTOR. Kto zwaryował?

ARTUR. Przecież nie ja. Ty Wiktorku. Pokaż no puls, bo pleciesz od rzeczy.

WIKTOR. Ślicznie od rzeczy, jeśli ci mówię com widział.

ARTUR (śmiejąc się). Wiesz, żeś ty rozkoszny, zdrzemałeś się zapewne i śniło ci się, (klepiąc go po ramieniu). Kochanku miałeś poetyczne widzenie, sam Dante, pozazdrościłby ci, a tobie ono humor popsuło..... Ha, ha, ha, zabawnyś żeby się gniewać na podobny sen.

WIKTOR (nieco rozgniewany). Ależ na honor Arturze to było na jawie.

ARTUR (j. w. kładąc się na kanapę). A choćby i na jawie, to cóż tak wielkiego, czyś ty nigdy nie całował?

WIKTOR. Śmiej się, to ci bardzo do twarzy, ale ja nic w tem śmiesznego nie widzę.

ARTUR (j. w.). No, no, opowiedz mi jak to było, kto całował?

WIKTOR. Panna Klara twoja siostra.....

ARTUR (powstając porywczo). Wiktorze tyś pijany, ty nie wiesz co mówisz!

WIKTOR (szyderczo). Jesteś impertynentem w twoim własnym domu, ale ci przebaczam i daję ci słowo honoru, żem widział, jak twoja siostra pocałowała Jerzego, tego moralistę....

ARTUR (zapalając się w gniewie). Nędzniku ty, to kłamstwo, cofnij coś powiedział!

WIKTOR (w gniewie). Jesteś gburem i łotrem.

ARTUR (j. w.). Poczekaj, krwią mi odpowiesz! Wybieraj czas, miejsce i broń, a byłbyś tchórzem, gdybyś nieprzyjął.

WIKTOR (j. w.). To wyzwanie?... Przyjmuję, jutro czekam świadków, a my spotkamy się na Bielanach (chce odejść gdy Jerzy zastępuje mu drogę).

SCENA IX.

Ciż i JERZY.

JERZY. Co to jest moi panowie, słyszałem wasze krzyki, co wam się stało?

WIKTOR (szorstko). Pojedynek będzie.

JERZY (zdziwiony). Co pan mówisz (do Artura). Arturze co słyszę.

ARTUR (do Jerzego). Przedewszystkiem proszę cię, nie chciej mię reflektować, bo to się na nic nie przyda, powtóre, proszę cię na świadka. Sądzę że mi nie odmówisz, bo to sprawa honorowa.

JERZY. Ale o co idzie?

ARTUR. O siostrę moją, o jej honor (wskazując na Wiktora). Ten pan za lekceważąco odezwał się o niej.

JERZY. Cóż to panie Pleciński, jak pan śmiałeś?...

WIKTOR (szyderczo). Pan nic nie wiesz, doprawdy?

JERZY. Panie, jaśniej proszę tłómaczyć się.

WIKTOR (j. w.). Niech się ten tłómaczy, kto mi kłamstwo zarzuca.

ARTUR (gniewnie). Kłamstwo nikczemne! Śmiał powiedzieć, że siostra moja pocałowała cię...

JERZY (d. s.). Widział nas... Nic więcej?

ARTUR (j. w.) To jeszcze mało?

JERZY. Słuchaj Arturze — uspokój się.

ARTUR (zdziwiony). Jerzy na honor nie rozumiem cię!

JERZY. Posłuchaj. Dzisiejszy dzień uważam za najszczęśliwszy w mem życiu; bo dziś siostra twoja, ten anioł niewinności zrozumiała mię; dziś, dzięki szczęśliwej dla mnie chwili, serca nasze na zawsze już złączone. Tak Arturze, ja ją kocham całą potęgą uczuć moich i raduj się mój drogi; ona jest mi wzajemną. Pozostaje mi teraz prosić twą matkę o rękę tego anioła — a ciebie, ażebyś się wstawił za mną.

ARTUR (uradowany ściska rękę Jerzego). Zgoda mój Jerzy, mój przyszły bracie. Z radością witam tę miłą dla mnie nowinę. Ale powiedz mi, jak to się stało, że nikt o waszej miłości nie wiedział?

JERZY. Zdziwisz się więcej, gdy ci powiem, żeśmy sami nie wiedzieli. Aż dziś dopiero zrozumieliśmy się—(do Wiktora) Obecnie zaś, winienem podziękować panu Plecińskiemu, że swojem podejrzeniem przyspiesza moje szczęście, bo dziś jeszcze powziąłem zamiar oświadczyć się pani Ciszewskiej o rękę jej córki.

WIKTOR (szyderczo). Aleś pan nie objaśnił Artura w kwestyi pocałunku....

JERZY. Panie Pleciński. Artur już nie potrzebuje żadnego objaśnienia. Kto inny zaś niech się strzeże objaśnień (do Artura). Drogi Arturze, obecna chwila jest podwójną rozkoszą dla mnie. Najpierw — własne szczęście moje, a powtóre, dzięki temu pocałunkowi, który był niewinnem tchnieniem anioła, szlachetne twe oburzenie okazało serce jeszcze nie zepsute w tobie. Widzisz mój drogi, byłbyś bez litości dla tych, co śmieliby cień podejrzenia rzucić na twą siostrę, — a gdy szło o obce zacne kobiety, chaiałeś być niesprawiedliwym.

Błogosław więc tej chwili, która, jakkolwiek drasnęła cię, ale dała poznać co czuć można, gdy idzie o godność i honor kobiety. Tak jest—lekceważyć je, jest to zbezcześcić samego siebie.

ARTUR (z mocą ściskając rękę Jerzego). Dziękuję ci Jerzy, ty dzielny człowieku (zwracając się do Wiktora). No Wiktorze — wybacz mi moją raptowność, przepraszam cię.... no pogódźmy się, podaj mi rękę.

WIKTOR (podając rękę). No zgoda, zgoda (n. s.) Dobrze że się skończyło, bom był już w strachu.

JERZY (do Artura). A cóż zakład, trzymasz jeszcze?

ARTUR. Wygrałeś mój drogi, zacznę ci się wypłacać (słychać za sceną muzykę poloneza— wchodzi pani Ciszewska z Klarą).

SCENA X.

Ciż P. CISZEWSKA i KLARA.

P. CISZEWSKA. Proszę panów do kolacyi.

ARTUR (podchodząc do matki). Mateczko droga, uściskaj syna twego, bo już zaczął poprawę (ściska matkę). A teraz powiem ci nowinę, że nasz dzielny Jerzy prosi....

P. CISZEWSKA. Już wiem. Klara mi mówiła i silnie popierała ich wspólną sprawę. Panie Jerzy, drugi mój synu, powierzam ci skarb ten— pielęgnuj go, a wasze szczęście będzie moją pociechą.

JERZY (biorąc Klarę za rękę prowadzi do matki) (do Klary). Zawsześ moim aniołem (do p. Ciszewskiej). O droga pani, urzeczywistniasz marzenie moje.

KLARA. Matko moja, jam szczęśliwa.

P. CISZEWSKA (ściskając oboje). Moje drogie dzieci, niech błogosławieństwo matki towarzyszy wam zawsze.

WIKTOR (d. s.). A to komedya — no, ale przynajmniej kolacyjkę zjemy i zapijemy tę sprawę. (Zasłona spada).

NIEWOLNIK.

SZKIC POWIEŚCIOWY.

(Dalszy ciąg).

Ojciec pogardliwem milczeniem odpowiedział na uwagę nauczyciela. Czy może myślał, co też istotnie będzie z tego chłopca w którego duszę nikt nie wejrzał, co będzie z tego chłopca do którego nikt nie przemówił głosem prawdy i uczucia? Nie, p. Skarzycki nie wiedział o tem, że obok niego siedzi sierota wydziedziczona ze skarbów rodzinnych uczuć, bez wątka w splątanych pojęciach, pełen sprzecznych myśli, ciemnych nieujętych w żadną formę pragnień.

P. Skarzycki z całym spokojem sumienia odwoził między ludzi syna, a jeżeli myślał o nim obecnie, co jest nader wątpliwą rzeczą, to daleki od trapienia się przypisywaniem winy sobie. Przykrość jakiej doświadczał z przyczyny chłopca podobna była do tej, jaką gospodarz czuje wśród nieurodzajnego roku, gdy patrzy na nędzne zbiory i zmarnowane *prace* całoroczne.

W dalszym ciągu takich refleksyj, rzekł głośno w części do Korzyckiego a w części do syna:

— Karola w dobre ręce oddamy. P. Sandberg jest właśnie człowiekiem jedynym do kierowania tak niepoprawnym chłopcem. Z największych urwisów robi on spokojne baranki. Systematyczny straszliwie, prawdziwy niemiec, ścisły, punktualny, a wytrwały i cierpliwy tak że niepodobna wystawić sobie aby odstąpił od raz zamierzonego przedsięwzięcia. Na niego swoję władzę w zupełności przeleję, a pan Korzycki jak umówiliśmy się, będzie nadal korepetytorem Karola i nieodstępnym jego stróżem.

Tu uśmiechał się ojciec z zadowoleniem na widok tak silnych bateryj pedagogicznych.

Zobaczymy kto postawi na swojem, czy Karol kierując się gwałtem na łotra, czy my chcący z niego uczynić porządnego człowieka.

Nie będzie tam mamy, którą mógłbyś oszukiwać swą udaną pobożnością, mówił ojciec zwracając się do syna, nie będzie stryja coby cię usprawiedliwiał. Sam siebie nie poznasz wkrótce jak się poprawisz, a gdy przyjdziesz do rozumu, dopiero potrafisz ocenić nasze starania. Tak z zupełnem przekonaniem i pewnością siebie przemawiał p. Skarzycki. Czemuż mu przez myśl nie przeszło wtedy jak trudną jest rzeczą władza nad umysłem i sercem, władza prawdziwa potęgująca siły umysłu i serca dziecka, zamiast przygniatania ich ciężarem swym i ciągnienia przemocą ku obcym mu widokom. Czemuż nie pojmował tego że biednemu chłopcu brak było ożywczych promieni ciepła i światła, brak swobodnej prawdy, szczerego uczucia, brak życia bez pęt ciężkich a luźnych. Zajmowano się nim tyle, ubolewano, szukano środków poprawy, dla czegóż nikt nie zniżył się do zawezwania jego własnej świadomej woli, nikt się nie spytał o jego *ja* zaparte w ciemnicy, nauczone żyć samotnie i wybiegać tajemnie na wycieczki o własnej wątłej sile, na manowce nieznane. Zdawano się nie wiedzieć nic o istnieniu tego *ja*, czy też wierzono że osobistość chłopca zdziczała dotąd lecz bezsilna, nareszcie da się schwycić i nałożyć do wymagań siłą przemocy? Jak kolwiekbądź, nie przeczuwano widać że dusza człowiecza gdy uniknie ogłuszania, wyrywa się z pod nacisku i lotna, nieujęta, niewładnąc sobą, biegnie na nieznane drogi, nie wiedząc o tem, że ciągnie za sobą zerwany sznur niewoli, że kierować sobą nie zdolna. Upada, podnosi się, błądzi samotna i ginie w bezładnej walce, jeśli nie odszuka przypadkiem prawdziwej ścieżki żywota, po której iść jest tak trudno, tak ciężko...

Być może za grzech poczytane mi będzie że powieść moję rozpoczynam od niepowabnych obrazów otoczenia w którem wzrastał mój bohater i nadaję jej jakiś pedagogiczny kierunek. Możnaby wprawdzie wprost obdarzyć intuicyjnym żywiołem istotę występującą na arenę życia — i uposażoną odrazu w pewną ilość dodatnich i ujemnych własności wprowadzić w życie jako bohatera walczącego ze światem siłą wziętą z góry, jako ofiarę niesprawiedliwości, lub wojownika ze zbiegiem losowych przygód. Możnaby przed kratki sądu ogółu postawić obwinionego, za myśli i czyny, albo do współczucia serc odwołać się przedstawiając stosownie ugrupowane fakta, lecz jeśli idzie o rzeczywistą prawdę, godzi się spojrzeć w zawiły proces pierwszego wzrostu duszy, by okazać człowieka nie jako geniusza zstępującego na świat w pełnym rynsztunku przymiotów, ale jako wytwór naturalnych warunków, działających na daną organizacyę, która sama w sobie jest materyałem, mogącym służyć na rozliczny użytek. Bezwładna poczwarka zaczyna nową przemianę, rzuciwszy swe legowisko.

Puszczamy mimo potok dni wielu i po dwu latach odnajdujemy Karola w nowej postaci. Trudno poznać w bujnym młodzieńcu dawnego bladego, pochmurnego chłopca. Wyrósł i wypiękniał. Nie ma w nim wprawdzie owej pogody i beztroski właściwej jego wiekowi, czerstwości kwitnącej i swobodnej siły młodzieńczej, świetnej wiosennem weselem; lecz w twarzy i całej postaci tyle życia przebija się i wyniosłej jakiejś bujności, że trudno na pozór przypuścić iż to ten sam przygnębiony i zamknięty w sobie uczeń Korzyckiego.

Jest to młodzieniec o smagłej, gorączkowo prawie ożywionej twarzy, rysów delikatnych choć układanych do wyrazu pewnej brutalskiej bufonady, z ciemną wijącą się z lekka, rozrzuconą niedbale czupryną, w porozpinanem odzieniu, spoczywa na trawie nad rzeką, w towarzystwie kilku towarzyszy zamiejskiej przechadzki... Towarzystwo wesołe i gwarne; na ziemi porozrzucane leżą resztki spożywanej przekąski, za wykwintnej jak na posiłek uczącej się młodzieży; widać nawet parę butelek z świetną etykietą i szklankę która pewnie nie służyła do czerpania rzecznej wody.

— Jeden Józef nam bróżdzi dzisiaj, wołał Karol ukazując na młodzieńca w wytartym mundurze, kościstej twarzy, podpartego na dłoni i patrzącego smutnie na bieg wody. On ciągle rozważa niesprawiedliwość Bajszyły, co mu zatrzymał promocyę. Czy to nie wiesz że błogosławieni którzy cierpią dla sprawiedliwości...

— Dobrze ci pocieszać mię świętemi słowy, odparł zagadnięty, tobie wszystko to jedno, rok dłużej, czy rok krócej siedzieć w szkole; ale człowiek co ciężko musi pracować, co o własnej sile żyć musi, nie tak łatwo godzi się z losem.

— On zawsze z tą własną siłą występuje! Jemu się zdaje że wielkim jest, dla tego że utrzymuje się z lekcyj. Jak się wam zdaje, kto z nas prawdziwie żyje o własnej sile, tak w moralnem jak materyalnem znaczeniu tego wyrazu?

— Któżby jak nie ty! odparł najbliżej Karola siedzący, najstarszy ze zgromadzenia młody człowiek z cyniczną ospowatą twarzą, o przystrzyżonych w szczotkę włosach. On samodzielny prawdziwie, to prawda, ale komu też swą samodzielność zawdzięcza?

— Sobie samemu ją zawdzięczam, zawołał Karol z żywością — ja wszystko sobie tylko zawdzięczam i wolność myśli i wolność czynu w pewnych przynajmniej granicach.

— Hej! a nie ma tam czem jeszcze spełnić toastu wolności, zawołał ktoś z grona.

— Co tam twoja wolność myśli i wolność czynu, wołał markotny Józef. Gdybyś ty sprobował co to znaczy cztery godzin korepetycyj dziennie.

— Niech żyją korepetycye i wolność myśli, zakrzyczał inny, a ktoś zaśpiewał jakąś piosenkę. Jak widzimy koleżeńskie grono nie zupełnie już jasno porozumiewało się między sobą.

Karol przemawiał nie zwracając uwagi na gwar:

— Nie dla tego to mówię aby się przechwalać, ale postaw się ktokolwiek z was w mojem położeniu. Czem zostałbym? Jakimś niedołężnym idyotą popychanym i ciągniętym na sznurku. Nie mówię już o domowych moich stosunkach w których co najwyżej wyrość mogłem na bigota i ślepą machinę w ręku takiego mistrza jak Korzycki, lecz pomyślcie tylko co każdy z was począłby, oddany w despotyczną władzę takiego głupiego niemca Sandberga i takiego bałwana Korzyckiego? Targał byś się, męczył jak galernik jaki, a w końcu chyba utopił lub powiesił. Ja natchnieniem jakoby odgadłem sposób wyjścia z takiej kurateli. Przecierpiałem pół roku; o przecierpiałem ciężko, alem postawił na swojem! Nie wszyscy z was może wiedzą co to był Sandberg, dziś on przerzucił się na inne pole przemysłu.

— Różne pocieszne podania krążą o tym jegomości.

— Nie byłyby ci pocieszne, gdybyś sprobował życia u niego, ciągnął dalej Karol. Utrzymywał on niejako instytut moralnie zaniedbanych dzieci. Oddawano doń chłopców z których nic nikt zrobić nie mógł, a on ich tresował piekielną taktyką, czemś podobnem do owego oswajania sokołów za pomocą bezsenności. Starał się znurzyć, zmordować swego pupila tak, że ten w końcu dawał z sobą

robić wszystko co chciano. Jego cierpliwość chłodna, uparta, bezkrwista, była jakiemiś zabójczemi kleszczami, które przerażały najbardziej rozhukanych chłopców. Miał regulamin codziennych zajęć złożony z najdziwaczniejszych przepisów: kto zaniedbał jakiego szczegółu dostawał do wyuczenia się pewną liczbę wokabuł niemieckich ze słownika na czas oznaczony. Nie wyuczył się — dostawał podwójną racyę i niewolno mu było ruszyć się z miejsca póki nie wypełnił zadania. Każdy krok twój był wyliczony, każde poruszenie ograniczone. Bunt, upór, złość, na nic się niezdały; miał on sposób na wszystko w swej flegmie niezmordowanej i podobnie jak owa roślina w swym kielichu zamyka owad, zwalniał szpony swej ofierze wtedy gdy się ruszać przestała.

— Jakie porównanie! jaka wymowa! zawołał ktoś z grona.

— Jakżeś sobie poradził z tem bydlęciem? spytał inny.

— Z samego początku zacząłem od tego, na czem inni kończyli. Choć mię do szaleństwa oburzała pedanterya niemca i panoszenie się Korzyckiego, stałem się wzorem pokory i uległości. Mimo najszczerszych chęci nikt we mnie nie znalazł nic do zarzutu. Korzycki mimo całej swej podejrzliwości zdumiewał się i musiał chwalić, niemiec się złościł, że nie ma pola do okazania swej sztuki a nieodrodna córka jego Liza, straszliwe śledcze widmo moich kolegów, zamiast wybijać mi co wieczór łapy swą urzędową linią za zmyłki w rozmówkach niemieckich, głaskała mię po twarzy wychudłą ręką.

Ze śmiechem teraz mogę wam wyznać że modliłem się nieraz gorąco o wytrwanie takiej próby i przyjście do skutku moich planów, bo nieraz rozpacz mię porywała i chciałem przy pierwszej sposobności uciec, gdzie mię oczy poniosą.

— Więc tedy modlitwy twoje zostały wysłuchane.

— Cóż myślisz! Ja wtenczas wierzyłem w to jeszcze. Właściwie mówiąc bałem się nie wierzyć. Modliłem się często i gorąco, a najgoręcej gdy szło o oszukanie moich przełożonych. Tak dalece byłem religijny!

Cnotliwością nic nie zyskałem jednak, wolności mi nie przybywało a cierpliwie dźwigane jarzmo gniotło mię nad siły przeszedłem więc ze stanu biernego w stan czynny. Uciekłem się do intrygi. Wiedziałem że to nikczemnie, ale musiałem walczyć tą samą bronią jaką ze mną walczono. Postarałem się tedy o wysadzenie Korzyckiego jako nieuka, który błędnie wykładał mi lekcye. Byłem już swobodniejszy, sam chodziłem do szkoły, pozbyłem się nieustannego nadzoru. Mogłem sam odwiedzać kuzynów moich, zamieszkałych w mieście. W tych położyłem całą nadzieję. Starałem się zyskać ich sympatye a gdym już wyrobił sobie opinię „chłopca na dobrej drodze“ zwierzyłem się im że Sandberg i jego córka jako luteranie zły wpływ wywierają na moję wiarę. W przeciągu jednego tygodnia po tem wyswobodzono mię z luterskiej niewoli i pomieszczono u siebie razem z szamownym koleżką kuzynkiem, od maleńkości tak obiecującym młodzieńcem jakim ja okazałem się u Sandberga. Nie tu koniec mej walki o wolność. Kto wie czy nie trudniej było mi jeszcze radzić sobie z nowem otoczeniem. Kuzyn mój jak wiecie ma sławę pierwszej głowy w mieście, a sam uważa się za nieomylną wyrocznię we wszystkiem, magnifika jego jest specyalną znawczynią serc i charakterów ludzkich, pojmujecie że w takiem otoczeniu nie jest łatwą rzeczą ocalić swą niezależność i przekonania własne, a jednak i tu wypłynąłem na wierzch.

Potrafiłem skorzystać z ich ślepej miłości dla godnego synalka, którego wkrótce podbiłem pod swą władzę, utrwaliłem ich wiarę w nieposzlakowaną prawowierność mych zasad i rozporządzam od roku przeszło zupełną swobodą swych kroków po za domem, rozporządzam dostarczanemi przez poczciwych żydów pieniędzmi, z rodzicami jestem jak dzisiaj na niezłej wcale stopie...

— I skończonym możesz się nazwać łobuzem a bratem naszym nieodrodnym, zakończył ospowaty kolega o krótko przystrzyżonych włosach, ziewając szeroko. Jak to się rozbija, jak wyśpiewuje Iliadę na część swoję! A żeby jedną pieśń poświęcił czci pomocników w swem dziele; kierownikom Telemaka opuszczonego od Mentora; któż to rozwinął piękne zarody tkwiące w twej duszy, kto im dopomógł w rozkwicie? Czyliż nie my, którym teraz chcesz imponować a może i przewodzić, dzięki ich goliznie a pełności twoich kieszeni.

— Twoje żarty są dziś bardzo niesmaczne odparł Karol z akcentem rozdrażnienia. Choć mówiąc prawdę zawsze są one takiemi.

— Widocznie zmieniłeś przekonanie. Był czas kiedy zachwycałeś się memi powiedzeniami.

— Słuchaj Rożek, mnie się zdaje że wkrótce będziemy się kłócić na prawdę, bez widocznej przyczyny, wybuchnął Karol.

Napadnięty wzruszył ramionami zwracając się do towarzystwa.

— O co tobie chodzi?

— Ha, ha, ha. Kłóćcież się, to będzie zabawne, wołali inni.

— Ale o co, o co? to sęk, pytał się Rożek.

— O to, że mi z wami zaczyna być tak czczo, tak głupio, już przestajemy się rozumieć. Jak tylko przestanę śmiać się i mleć językiem co ślina przyniesie, czuję (niech was to nie obraża), żeście głupcy a ja największy między wami.

— To już coś drugi raz pojawiają się w nim takie symptomata waryackie, zauważył ktoś z obecnych, gdy inni się śmiali.

— Albo symptomata marnotrawnego syna wchodzącego na dobrą drogę.

— I cóż z wami gadać, kiedy jesteście bezmyślni, zawołał Karol zrywając się w uniesieniu. Wam się zdaje żeście mędrcy, dla tego np. że lekceważycie sobie to co czczą inni, że żartujecie sobie z wiary i form moralności. Zdaje się wam żeście wielcy wolnomyśliciele, a może i nic wam się nie zdaje, ot żyjecie tak jak wam dogodniej...

— Cicho, cicho — usłyszymy kazanie.

— Wypowiem wszystko, wołał Karol. Nie wierzycie — i ja nie wierzę, bardziej może od was — bom przeszedł od dzieciństwa prawie, ciężkie zapasy ze zwątpieniem i wiarą, przedstawiającą mi się, nie jak wam — czemś dodatkowem w wychowaniu, zwyczajem, przyjętą formą, lecz wyłączną pochłaniającą cały umysł dążnością. Mnie od małego przepełniano wiarą, zajmowano połowę czasu praktykami nabożnemi, czytałem mnóstwo książek religijnej treści, rozmyślań, a mimo to, albo może właśnie dla tego wcześnie zacząłem dręczyć się zwątpieniem. Wyście mi nic nowego nie powiedzieli, przeciwnie, gdym się ośmielił wypowiadać swe skryte myśli, podawałem wam rzeczy nad któremi nie zastanawialiście się nigdy. Mniejsza o to — dziś tu żadnych zagadek dla mnie nie ma, nie o to mi chodzi.

Gdym się przed wami rozgadał, o mojej samodzielności, o moich wielkich czynach, złość mię porwała na siebie nie na nas. Wszystko com zrobił jest tylko niską hypokryzyą, oszukaństwem godnem mego zacnego koleżki kuzynka. O tyle jestem tylko lepszy od niego że czuję to, i mam odwagę wyznać. Moja wolność do czegóż mi służy. Że nabywane w nikczemny sposób pieniądze trwonię, że trwonię czas na próżniactwie. Czuję się wyższym od tych, których w błąd wprowadzam, a z rumieńcem wstydu tylko stałbym przed nimi, gdyby poznali jak żyję rzeczywiście...

— O cóż ci chodzi! zawołał Rożek. Odebrałeś pewnie sążnistą epistolę od mamy. Idź napisz jej to wszystko co nam tak pięknie wypowiedziałeś, i poproś o przysłani ci ks. kapelana żeby cię nawrócił.

— Nie szydź ty z tego, czego nie rozumiesz i nie dotykaj bolącej struny! popędliwie odparł Karol. Ty nie wiesz z jakim wstrętem kłamstwami odpowiadam na jej słowa równie puste dla mnie a dręczące — jak straszną i potworną wydałaby się jej prawda moich przekonań. A! duszno mi z wami, tak mi źle, tak strasznie czasem, wy tego nie pojmiecie! Mam sobie do wyrzucenia że przed wami odkrywam to wszystko. Nie pojmujecie mię, bo was wyprzedzam o wiele; wy poprzestajecie na tem aby nie czuć i nie myśleć, ja idę dalej — chcę z tego stanu w jakim się mój umysł znajduje wysnuć cały świat — piękny, wielki, swobodny...

— Chcę „cierpieć, kochać i pracować,“ patetycznie wydeklamował Rożek. „Młodości — ty nad poziomy!“...

Zaśmiali się towarzysze a Karol, z dziwną grą twarzy potoczył na nich, potem rozśmiał się także...

— Pójdźcie tu oba z Józefem co właśnie czyni mocne postanowienie, by poświęcać odtąd po dwie godziny dziennie na studya gramatyki łacińskiej, pójdźcie tu oba, pragnący świat oczyścić ze „spleśniałej kory“ — mówił Rożek wysączając resztki z butelek do szklanki. Oto za pomyślność waszych pragnień spełniam ofiarę.

— Pójdziemy, ale gdzieindziej i wszyscy zawołał Karol innym zupełnie tonem. Skwasiłem wam humor niepotrzebną gadaniną, trzeba go naprawić. Jeśli na to tylko myśleć aby się dręczyć, to lepiej wcale nie myśleć.

„Gaudemus igitur, juvenes dum sumus.“

IV.

Nad wieczorem już młody Skarzycki sam wracał do domu. Pożegnawszy kolegów nie udał się jeszcze wprost do siebie, przeszedł miasto i udał się po za obręb jego zabudowań w najmniej uczęszczaną stronę. Szedł nie zwracając uwagi na miejscowość. Sztuczna wesołość opuściła go, postępował zwolna, jakby dźwigając ciężar na sobie.

Na ganku zamiejskiego dworka, zebrane towarzystwo obserwowało długo postępującego ze spuszczoną głową młodzieńca.

— Zakochany biedak, opiniowała kobieta dobrej tuszy, w świeżym białym kaftaniku.

— Promocyi nie dostał i rozmyśla jakby się wykłamać przed rodzicami, upewniał poważny urzędnik sądu poprawczego.

Panienka na wydaniu która już kilka razy widziała tu owego ładnego chłopca, a nawet spotykała się z jego śmiałemi ciemnemi oczami, śmiejąc się z uwag czynionych nad nim, coś innego po cichu zamarzyła sobie.

— Nie zna pan czasem tego studenta? spytała młodego człowieka zajętego tymczasem rozmową z malcem. O tego, co tam idzie wzdłuż parkanu!

— To mój kolega, odparł zapytany z zajęciem spostrzegając Karola. Wkrótce pożegnał obecnych i pospieszył za nim.

Kolega Karola, który szybkim krokiem starał się go doścignąć, był starszym od niego, silnie zbudowanym młodzieńcem, twarzy okrągłej pięknej lecz rozumnej; pewny, lecz umiarkowany w poruszeniach. W pewnej odległości od Karola zwolnił kroku, zdawał się coś obmyślać patrząc nań ze współczuciem. Z przeciwnej strony pustą uliczką zbliżał się pijany wyrobnik. Zataczał się śpiewając urywanym, chrapliwym głosem. Obdarty, bez czapki z włosami pozlepianemi, twarzą zniszczoną, zawalaną błotem, ohydnie śmiejącemi się ustami, zataczał się nędzarz i przeliczał w ręku kilka miedziaków, gestykulując i bełkocząc niedołężnie. Karol zatrzymał się, i z wyrazem zgrozy i wstrętu przeprowadzał go wzrokiem. Tu spostrzegł kolegę.

— Pan Zawada! zawołał z niejakiem zakłopotaniem podając mu rękę. Wstyd mi przyznać się do fatalistycznych przypuszczeń, ale każde prawie spotkanie z panem ma dla mnie jakieś głębsze znaczenie.

— A ja bałem się czy właśnie nie sprawia panu przykrości. Pan mię zawsze unika. Spotkania nasze postawiły nas w drażliwym stosunku do siebie. Tak być nie powinno. Zawiniłem nie raz zbyteczną surowością zdania. Podajemy sobie ręce i — nie unikajmy się nadal.

— Pan nie ma do mnie urazy za moje żakowskie znalezienia się?..

— O nie romansujmy z sobą.

Uścisnąwszy się za ręce postępowali obok siebie w milczeniu.

— Dla czego upatrujesz pan jakiś fatalizm w naszem spotkaniu? pierwszy odezwał się Zawada.

— Bo obecna chwila jest jakby umyślnie wybrana na to, i w silny sposób przekonywa mię, jak pan zniżać się musi do mnie.

— Ja, zniżać się...

— Tak panie. Czy pan uważał tego biedaka, co nas minął niedawno? To ja.

— Nie poniewieraj że się człowiecze, seryo zawołał Zawada. Co za porównanie! W zbydlęconej istocie, pozbawionej ostatniego promyka świadomości i poczucia człowieczeństwa, upatrywać siebie, młodzieńca rozporządzającego bogatemi zasobami duszy?

— A któż nas upewni że ten człowiek nie miał bogatych zasobów duszy, nim popadł w niewolę nędzy i upodlenia? Czy on w godzinach wytrzeźwienia spoglądając na piękny świat, nie czuje czem jest, a czem być powinien? Czy to z innej pobudki wlecze się potem do szynku, a nie na to aby zalać rozpaczliwy błysk świadomości?

— On już nie władnie sobą, on już zaprzedany w niewolę i nie ma czem dobyć się z niej.

— I ja nie umiem i ja bez steru i ja nie mam się czego chwycić na ślizkiej drodze, zawołał Karol nerwowo chwytając się ręki Zawady. Udaję żem dumny i pewny siebie, zdaje mi się żem silny, ale częściej daleko czuję że świadomość moja jest tylko światłem abym przy niej rozpatrywał swą nędzę moralną i błąkał się po błocie, patrząc na ideały. Czasem wśród zamętu myśli pojmuję prawdę, wielką i świętą — ale na cóż mi pojmować ją jeśli w życiu, w świecie czynu jestem tylko robakiem pełzającym, liściem na wietrze. Czasem zazdroszczę mechanicznego, ślepego życia ludzi rosnących tak jak chce prosty porządek rzeczy, instynkt i zwyczaj... Cóż mi z tego że widzę większą przestrzeń, czuję obszar dążeń, kiedy kierować się w nich i działać nie umiem i w głowie mi się kręci nad przepaścią.

Zmierzchało się już — Karol jakby do siebie mówił patrząc w osnuty mgłą wieczorną krajobraz, mówił z drżeniem w głosie — tonem jakim dobywa się najskrytsze zwierzenie z pod serca. Gdy spojrzał w oczy towarzyszowi, znalazł tam spokojny, ciepły wyraz współczucia, uczciwą twarz pogodną, pełną rzeźwej otuchy.

— Wiesz Karolu! chciałbym cię uściskać serdecznie! Nie pomyliłem się. Przeczuwałem taki nastrój ducha w tobie. Ha! zdziwiony jesteś moją radością? Nie tem ja się cieszę, żem cię odgadł, lecz że znajduję cię w lepszym stanie niż mi się zdawało i że czuję się zdatnym przyjść ci właśnie z tą małą pomocą, której potrzebujesz. Chcesz wyjść z tego nieznośnego położenia — ale czy chcesz szczerze, prawdziwie?

— Pragnę — ale sam jestem.

— Już nim nie jesteś, będziemy we dwóch, dopóki nie będziemy razem z całym światem. Bratni uścisk zastąpił Karolowi słowa. Czuł się szczęśliwym jak nigdy w życiu. Każda myśl wyprzedzała inną, każde słowo unosiło wartki potok uczuć, nim usta zdołały wymówić.

— Czy mogłem się spodziewać, że dziś tak pierwszy raz w życiu będę szczęśliwy! wymówił wreszcie z radością i łzami w głosie. Teraz już nie wątpię, teraz potrafię żyć — nie wiem czemu, ale wierzę już w siebie, tak jakbym już zdobył lepsze życie...

— Nie przeceniajże tylko mojej pomocy, którą ci jak brat starszy ofiaruję. Karolu strzeż się ostateczności. Widzisz zaczynam już swą misyę. Ze zwątpienia przychodzisz do przedwczesnego tryumfu, tak samo jak od zapału do zniechęcenia. Środek, środek trza wzmocnić, główny korpus sił życiowych, a wzmocnić go trzeba wytrwałą pracą nad sobą i ścisłem posłuszeństwem prawom rozumu.

— Chcesz mię odrazu zastraszyć trudnościami! a ja czuję że szczęśliwym będę rozpocząwszy życie na nowo. Pamiętasz jakieś mi raz z politowaniem powiedział, że ceniłeś mię więcej niż na to zasługuję. Był czas żem starał się nienawidzieć cię za to, że mię upokarzał twój widok. Pamiętasz, te moje wystąpienia pełne fanfaronady, tę dysputy których się wstydzę! O zobaczysz, zasłużę na twój szacunek prawdziwy, zamiast na współczucie jakie dotąd żywiłeś dla marnującego się głupca!

— Najprzód musisz raz na zawsze porzucić Rożka i jego spółkę. Prawdziwie żal mi cię było, że gustujesz w takiem towarzystwie...

— Nie wspominaj już, błagalnie wołał Karol, bo brzydzę się i sobą dawniejszym i nimi. Bądź moim przyjacielem Janie. Podajesz mi rękę w chwili najkrytyczniejszej. Tyś tę chwilę przygotował we mnie może nie wiedząc o tem, ale nie śmiałem spodziewać się żeby dziś o to...

— A ja spodziewałem się zawsze, że jeżeli nie dziś to jutro staniemy się przyjaciołmi. Zdawało mi się tylko, że jeszcze zarozumiałość twą trza będzie przezwyciężyć, przełamać lody fanfaronady, albo może spotkać się z pozowaniem na sceptycyzm i pogardą świata...

— Nie mój drogi, ja przed tobą ani zarozumiałym być nie potrafię, ani pozować nie śmiem, tobie jednemu na całym świecie wierzę, przed tobą jestem otwarty aż do ubogich skarbów i obfitych mętów serca, ciebie chwytam się jak tonący. Janie ty bądź jedynym prawdziwym moim przyjacielem!

Długo jeszcze rozmawiali z sobą, krążąc zwolna po za miastem i po ulicach. Była to jedna z tych rozmów, do jakich tylko młodzieńcze serca są zdolne, zwierzeń nieobliczanych i niekrępowanych niczem, myśli nie zaprzedanych ubocznym widokom, nie kierowanych ukrytą dążnością, w których człowiek wewnętrzny występuje bez maski, jak przed sobą samym w chwili samotnego dumania.

Tak niespodziane zawarcie sojuszu między dwojgiem obcych sobie niedawno młodych ludzi, mogłoby wydać się nienaturalnem gdyby nie było skutkiem długiego uprzedniego stosunku ich do siebie, którego wzrost i cieniowanie opuściliśmy, równie jak cały ferment duszy Karola, nim doszedł do stanu jaki odkrył Zawadzie.

Może zbyt rażące musielibyśmy przesuwać obrazy umysłu targającego kruche więzy zasad, rozsadzającego formy zasłabe, aby samopas biedz za popędem po bezdrożach. W życiu młodzieńczem bywają czasy anarchii podobne do strasznych przesileń w dziejowym pochodzie narodów.

Jeśli w rozpasaniu umysłowem i moralnem Karol nie upadł w ostateczny kał zepsucia,

to nie sile swej zawdzięcza, lecz tlejącej iskierce podnioślejszych uczuć zapalonych w rozmarzonej duszy i pewnej ambicyi wypielęgnowanej skrycie, która podsycała w nim popęd do wyższości. Zasady, prawdy, przywyknienia dobre, zbyt słabe i bez podstaw — runęły, charakter nie miał nawet zawiązku, wspomnienia i uczucia nie strzegły rozbujałej duszy, zostało tylko to coś, *co brzydzi się brudem i podłością* choć by się w nich nurzało, w co wierzył Karol i czem się szczycić lubił.

Mimo to szczytne znamię duszy, Skarzycki ugrzązł w towarzystwie zepsutych do gruntu młokosów, gdzie go wciągnęło szukanie rzekomej wolności, nim zaznał tu nowej formy niewoli równie ciężkiej w czczości i niedołęztwie ubezwładnionego w niej ducha, jak gdyby ten dręczył się w zewnętrznych okowach. Zawada, młodzieniec pełen energii, umysł trzeźwy pracujący poważnie i z całym zapałem oddany zdobywaniu wiedzy, charakter silny obok szlachetności uczuć i serdecznego ciepła, przedstawił się Karolowi postacią tem piękniejszą im bliżej go pojmował. Oburzał on go z początku, potem dziwił, olśniewał, budził tajemną sympatyę, wreszcie pociągnął ku sobie całą, swym nieznacznym wpływem rozwiniętą lepszą część błąkającego się samopas młodzieńca. Jak widzimy zejście się ich najpiękniejsze rokuje nadzieje.

Rozeszli się do jutra zostawiając rozpoczęcie mnóstwa najpiękniejszych planów. Karol był szczęśliwy jak grzesznik pojednany z Bogiem, albo jak młodzieniec upewniony o miłości kochanki.

Uwierzył w radykalną swą zmianę i wywyższenie nad dotychczasowy poziom. Z jakąż wyniosłością wewnętrzną stanął w obec otoczenia, które dotąd przygniatało go swym ciężarem. Wszedł do mieszkania ze swobodą wyższości. Dźwięki fortepianu i głosy zebranych gości dochodziły go z dalszych pokoi. Unikał on dawniej „chińskiego,“ jak nazywał towarzystwa, zbierającego się w salonie jego kuzynów, dziś jednak zapragnął popatrzeć w oczy temu światu i z uśmiechem wszedł w jaśniejące światłem, błyszczące pretensyonalną wystawą, wysznurowane etykietą i dobremi manierami, grono śmietanki miejskiego towarzystwa.

Po kilku komplementach zamienionych z poważnemi matronami, hołdzie zachwytu złożonym muzyce hrabiny i ciężkich próbach dotrzymania placu rywalizacyi z kawalerami w bawieniu panienek kwiecistą rozmową, Karol rozmyślał już nad wycofaniem się z wonnej atmosfery w której za ciężko mu było oddychać, gdy p. prezesowa zaczynała właśnie pierwsze akordy polki. Dwaj kawalerowie skwapliwie powstali zaprosić do tańca panny radczanki. Karolowi tak śmiesznem wydał się widok dwojga par skaczących przed kołem uśmiechniętych matron, taka złość go porwała na idyotyczną melodyę i idyotyczniejsze jeszcze uśmiechy liliowych panienek, że mimo głos zatrzymującej go muzyki wszedł z sali i postanowił nie pokazywać się tu do końca wieczoru.

Kuzynek Kostuś wybiegł za nim. Był to młodzieniaszek grzeczny i dobrze ułożony, który zawsze i wszędzie był na swojem miejscu. Był to pilny uczeń, faworyt mamy, pieszczoch jej przyjaciołek, pociecha ojca, pobożny, roztropny i rozgarnięty, miły, usłużny, uległy; nie lubili go jednak koledzy a nieprzyjaciela miał w Karolu, choć życzliwość swą okazywał mu na każdym kroku. Ubolewał wprawdzie nieraz skrycie nad złym kierunkiem umysłu kuzyna, nieraz smutnie kiwał kędzierzawą blond główką, gdy domyślano się jakich podejrzanych kroków Karola, ale nigdy nie zdradził żadnej jego tajemnicy. Nawet nieraz miłość bliźniego (zanadto egzaltowana zapewne) prowadziła do osłaniania niewinnym wykrętem postępków Karola godnych nagany, a matka tylko wiedziała że o ile możności wpływał na jego sposób myślenia i zawsze starał się dobrą drogę mu wskazywać koleżeńską radą.

Wybiegł za Karolem i z troskliwością zaczął się go wypytywać, dla czego opuszcza towarzystwo? Cierpko odpowiedział mu Karol i zajął się porządkowaniem swych książek. Kostuś wbrew zwyczajowi, natrętnym był jednak; coraz z innej beczki zaczynał rozmowę z delikatnością zawsze, ale uśmiechał się dwójznacznie.

— Zapewne masz mi coś do powiedzenia, zapytał Karol.

— Nie — nic ważnego, tylko uważasz, chciałem cię ostrzedz, bo widzisz, gdyby nie ja — rodzice dowiedzieć by się dziś mogli o jednej rzeczy... Ha, ha! i ty masz swoje sekreciki, ale nie gniewaj się, bo jak mamę kocham dowiedziałem się niechcący. Dziwiłem się nieraz skąd to ty tyle pieniędzy dobywasz... d. c. n.

Korespondencya Opiekuna Domowego.

Sieradz, d. 28 kwietnia 1876 r.

Zakończywszy poprzedni mój list statystyką rolniczą, przyrzekłem wam podać dalszy ciąg wiadomości statystycznych o Sieradzu. Dotrzymując obietnicy, zacznę od rozległości Sieradza, powiem o jego rogatkach, traktach, przedmieściach, ulicach i t. d. I tak: ziemi w obwodzie miasta jest około 120 morgów; z tej liczby 15 morgów znajduje się pod zabudowaniami, pozostałą zaś ilość zajmują place, sady, ogrody owocowe i warzywne i t. p. Linia obwodowa miasta wynosi 3 wiorsty; promień zaś od jednej rogatki do drugiej ma długości 1 wiorstę.

Rogatek w Sieradzu jest obecnie 2, a mianowicie: 1) warszawska, z której wychodzi się na trakt fabryczno-łódzki, 2) kaliska, prowadzi traktem pocztowym do Kalisza i z niej wychodzi się jeszcze na dwa trakty: złoczewski i wartski. Oprócz tych większych, wychodzi z Sieradza droga komunikacyjna do Widawy. Drogi miejskie ciągną się na przestrzeni 5 wiorst, na wysypanie i reperacyę ktorych użyto w r. 1875 szarwarku: konnego 54 i pieszego 258 dni. Na poprawę i dobre utrzymanie miejskich dróg komunikacyjnych odrabia się szarwark w naturze. Drogi komunikacyjne znajdują się na przestrzeni 25 wiorst. Na gubernialnej I-szej klasy szosie znajdują się 2 mostki, na komunikacyjnych zaś drogach 18 mostków. Pod Sieradzem na rzece Warcie (w tem miejscu zowie się jeszcze Prowendą) znajduje się taryfowy most drewniany, będący własnością skarbu; dzierżawca opłaca z niego arendę do kasy okręgowej. Także drugi jest nieco dalej na Warcie.

Powyżej wspomniana rzeczułka Prowenda, prześlizga się u stóp pochyłości, na której wznosi się Sieradz, i wpada tuż za mostem do Warty. Szerokość jej zwyczajna wynosi od 50 do 60 stóp, na wiosnę zaś sięga kilkanaście stóp więcej; głębokość jej zwyczajna nie przechodzi 5 stóp, lecz w czasie wezbrania podnosi się do 10 stóp i wyżej. Cieszy nas to wielce, że i Warta jako jedna ze spławnych rzek w Królestwie, ma być, jak doniósł „Kaliszanin“ poddaną studyom badawczo-technicznym. Dla rzek: Warty i Czarnej Przemszy opracowano już odpowiednie projekta celem ich regulacyi i na rzece Warcie ma być urządzony stały nadzór techniczny. Byłoby także do życzenia, iżby koryto Prowendy w niektórych miejscach oczyszczone zostało, wiele to bowiem wpływać może niekorzystnie na zdrowie, jeżeliby tak nadal zostać miało.

Sieradz obfituje w zdrową, czystą i przyjemnego smaku wodę. Ogółem biorąc, jest w Sieradzu studni i pomp 60, stawów zaś 2. Pochyłość większej części ulic sprawia, iż czystość i suchość ulic prawie stale się utrzymuje, tak dalece, że w parę godzin po największej ulewie, nie pozostaje prawie ani śladu wody na ulicy.

Teraz udam się w podróż po mieście, ręka w rękę, ale zgadnijcie z kim?... Z obieżyświatem Bedekerem. Nie mam pod ręką dlań doróżki, musimy więc odbyć podróż per pedes apostolorum. Dobry to przewodnik, lepsze są jeszcze jego drukowane przewodniki, ale i on bez przewodnika obejść się nie może; pójdziem więc razem i szczęśliwej drogi!

Na pierwszy rzut oka spostrzegamy, że większa część ulic sieradzkich, zupełnie zmieniła kierunek, i jak sobie przedstawiamy z historyi miasta, nie takie ich położenie za dawnych czasów być musiało; wiele z pomiędzy nich albo zupełnie znikło i znane są tylko z podania, albo też wiele przybrało znów bieg całkiem inny i tylko dawniejsza nazwa wyraża niejaką wspólność z poprzedniemi.

Gdzie rozpościerały się dawniej cmentarze, tam dziś rozesłały się ogrody i pola pod uprawą; gdzie zalegały zgliszcza lub rudery dawnych drogich pamiątek, dziś wznoszą się drewniane chaty albo miejsca zupełnie są puste. Dzisiejszy Sieradz nie przedstawia nawet odpowiednich danych do wybudowania go w wyobraźni takim, jakim miał być dawniej. Wiele wprawdzie zmieniło się na lepsze pod względem materyalnym, ale strata niewielu pomników przeszłości, które czas pożarł, ręka złośliwa lub pożary obróciły w perzynę, ta dla dziejów niczem nagrodzić się nie da. Jedynie niektóre wązkie, powyginane uliczki paru kwartałów, z podwórzami łączącemi poblizkie ulice, z tajemniczemi podziemnemi przejściami, klasztor Po-Dominikański z poczerniałemi od starości ścianami, gruzy dawnego zamku, z którym tyle wiąże się wspomnień—

ot wszystko, co może dać niejakie pojęcie o dawnym Sieradzu.

W ogóle dziś w Sieradzu 20 większych i pomniejszych ulic, rynek i 3 przedmieścia; wszystkie prawie ulice wchodzące w skład samego miasta z małym wyjątkiem, mają bruk z kamieni. Rynek dopiero w 1865 r. otrzymał bruk, a chodniki także z kamieni były na nim już dawniej. Trudno oznaczyć liczbę domów w Sieradzu za dawnych czasów; jak starzy ludzie tutejsi twierdzą, to dawniej więcej, niźli teraz budowano, i tak od r. 1830 do 1835 czyli w przeciągu pięciu lat wzniesiono w Sieradzu 30 murowanych piętrowych domów. W r. 1864 liczono w Sieradzu domów 383, teraz jeśli mię pamięć nie myli, liczy się wszystkich domów wraz z placami coś 550 numerów, między nimi 100 domów jest murowanych, 265 zaś drewnianych.

W samym centrze miasta nie ma w Sieradzu ani jednego znacznego ogrodu. Publiczny park miejski, o którym już nie raz w listach moich do „Opiekuna“ wspominałem, znajduje się obok więzienia karnego i ma przestrzeni 4 m. Przed kilku laty było to ulubione miejsce przechadzek dla mieszkańców miasta, obecnie mniej uczęszczane a to z przyczyny, że od 1868 przybyła nam młodemi drzewkami wysadzona aleja i skwer blisko rynku przed cukiernią położony. Ogród ś. p. dr. Bielinga obfituje w prześliczne nawet urocze kwiaty, p. Rafałowicza zaś—w owoce. W ogóle wszystkich ogrodów kwiatowych jest 7, warzywnych 20.

Do oświetlenia miasta służy 55 latarni podsycanych naftą. Zdaję się odkładać do przyszłego listu statystykę, bo odprowadzam ją jak widzicie wraz z p. Bedekerem przy świetle latarń i.... księżyca do buduaru i mówiąc „dobranoc“ przechodzę do rzeczy miejscowych, okolicznych i... okolicznościowych.

Jak słyszę, we wsi Chojnem pod Sieradzem, własności P. Tomasza Dangla, znanego u nas chodowcy jedwabników, za sprawą ks. Drozdowskiego, proboszcza tamecznej parafii, niezadługo ma być uorganizowaną wiejska ochotnicza straż ogniowa. Po Dubrcu - Wielkim pod Kaliszem, gdzie pierwsza u nas podobna instytucya wkrótce będzie uorganizowaną, będzie to drugi przykład w swoim rodzaju, który lubo dopiero jest projektem, jednakże zasługiwać powinien na najszersze rozpowszechnienie i naśladownictwo.

Teraz zwrócę się do was, na słówko, miłe czytelniczki „Opiekuna.“ Czy wiecie: „poczem poznać czy konkurent konkuruje o pannę a nie o szkatułę papy?“ Jest to pytanie p. Sylwii za najlepsze rozwiązanie którego redakcya „Biesiady Literackiej“ nie mogąc w tak trudnej kwestyi odpowiedzieć, stosownie do jej woli dwutygodniowy ogłosiła konkurs. Kwestya ta jak wiadomo zaintrygowała wielu czytelników obojej płci, albowiem do redakcyi „Biesiady,“ jak przekonywa odpowiedź jej dla p. Sylwii w 16 numerze tego pisma z r. b. zamieszczona, nadeszło kilkadziesiąt odpowiedzi, i na czele wybranych przez redakcyę 5-ciu odpowiedzi, figuruje firma uniżonego waszego sługi, któremu ani się śniło jeszcze konkurować..... Dla szczupłości ram zapewne „Biesiada“ nie wszystkich wydrukowała odpowiedzi; tym bardziej uważam za stosowne zacytować w tem miejscu moję odpowiedź.... ale humorystyczną. I tak: konkurenta takiego najlepiej poznać z jego listów resp. *bilecików romansowych*, jakie pisuje do panny o którą konkuruje. Jeżeli mianuje ją: „Moja kochana, najukochańsza, duszko miła, mój aniele i t. p.,“ z tego poznać, że ją prawdziwie kocha i nie ubiega się o szkatułę papy; jeżeli zaś pisze: „Moja droga, najdroższa, złota i t. p.,“ to dowodzi, że konkurent więcej rzuca oko *na szkatułę papy*, niż na pannę,

Młode czytelniczki będą zapewne ciekawe zaglądać do listów swych konkurentów, w celu przekonania się, jak oni też myślą. Niech was to nie zraża, gdy w tych listach znajdziecie słówko „moja droga“ albo co w tym rodzaju, nie potępiajcie konkurentów, bo oni temu nie winni, odkryty bowiem przezemnie sekret, nigdy seryo nie może być poczytanym.

Maksymilian Kempiński.

JÓZEF HAYDN.

ŻYCIORYS I CHARAKTERYSTYKA.

napisał

DR. HENRYK DÖRING.

przełożył z niemieckiego

H. B.

I.

Jedną z gwiazd pierwszorzędnych, jaśniejących na niebie muzyki, jest bez zaprzeczenia Józef Haydn, powszechnie czczony twórca najpoważniejszego i najświetniejszego rodzaju kompozycyi instrumentalnej: kwartetu i symfonii. Wielki ten mistrz tonów, zawsze nowy i oryginalny, tak w pomysłach jako też i w wykończeniu, umiał, jak rzadko kto przed i po nim, wpłynąć na wykształcenie smaku muzykalnego u współczesnych sobie, oraz zapanować pod względem sztuki nad duchem swojego czasu. Będąc zarówno wielkim w lekkim „humorze“ jako też i w cichym „żalu,“ w uroczystem „aleluja“ jak i w najprostszej „pieśni pastuszka;“ przy tem zawsze skromny i szczerze religijny, nie przestawał on, prawie po sam koniec dni swoich, obdarzać świat tonami, które płynęły z serca i do serc przemawiały.

Wcale nie świetnem, ale pomimo to bardzo pomyślnem dla rozwinięcia jego talentu było otoczenie, w którem Józef Haydn d. 1 kwietnia 1732 roku, ujrzał światło dzienne. Miejscem jego urodzenia była wieś Rohrau, leżąca w dolnej Austryi, na pograniczu Węgier. Ojciec jego był stelmachem i zarazem pełnił obowiązki zakrystyana przy tamecznym kościele parafialnym. W młodszych swych latach, znajdując się na wędrówce ojciec Haydna nauczył się w Frankfurcie nad Menem trochę grać na harfie i przez wprawę doszedł był do tego, że mógł przygrywać śpiewowi swej wesołej żony, która dawniej była kucharką w jednym z okolicznych szlacheckich domów. Temu zwyczajowi rozpędzania sobie nudnych chwil za pomocą muzyki, ojciec Haydna pozostał wiernym przez całe swe życie i skoro tylko praca dzienna była ukończoną lub gdy nastała niedziela chatę skromnego i pomimo ograniczonych stosunków, zawsze zadowolonego ze swego losu rzemieślnika, przepełniały ochocze pieśni. Rodzina składała się z ojca, matki i trzech synów; Józef był najstarszym. Z dwóch młodszych jego braci, Michał był później kapelmistrzem w Salzburgu, Jan zaś nadwornym śpiewakiem księcia Esterhazego, w Eisenstadt.

Bracia Haydnowie od lat najmłodszych najżywszy przyjmowali udział w muzykalnych rozrywkach swoich rodziców.

Już jako pięcioletni chłopczyk, Józef starał się choćby tem być czynnym przy domowych koncertach, że z całych sił manewrując patykiem, jak mógł tak udawał grającego na skrzypcach.

Nie ulega wątpliwości, że owo zamiłowanie ojca do harfy i śpiewu, wpłynąć musiało na to, że Haydn od najmłodszych lat swoich pokochał muzykę.

Rodzice początkowo pragnęli aby został księdzem. Stało się jednak inaczej. Do tego znów przyczynił się zapewne nie mało rozgłos jaki zjednał sobie chłopiec u mieszkańców całej wsi z powodu swego pięknego śpiewu. Nauczyciel tamecznej szkółki, który pozostawał z rodzicami Haydna w przyjaznych stosunkach, wezwany do rady, gdy szło o wybór powołania dla Józefa, przechylił szalę oznajmiwszy, że wedle jego zdania, chłopiec powinien poświęcić się muzyce, i w przyszłości jako *Regens chori*, lub w inny jaki sposób ustalić sobie byt.

Nie małego też znaczenia były odwiedziny w domu Haydnów, niejakiego Franka, ich krewnego nauczyciela szkoły w Heinburgu, miasteczku leżącem niedaleko od Rohrau. Tenże był wielkim miłośnikiem muzyki i serdecznie się radował, widząc jak mały, wówczas sześcioletni Józef, towarzyszył rodzicom przy śpiewie, wygrywając przy tem dziarsko na swoich improwizowanych skrzypcach. Frank poznał niezwykłe zdolności chłopca i ze swej strony także poradził rodzicom, aby poświęcili syna muzyce, przyczem ofiarował swą pomoc i oświadczył, że chętnie przyjmie Józefa do swego domu.

Propozycya ta była ojcu Haydna bardzo na rękę, gdyż sam nie miał on prawie żadnych środków aby łożyć na wykształcenie syna. Sześcioletni tedy Józef, opatrzony błogosławieństwem rodziców, przeniósł się na mieszkanie do swego krewnego do Heinburga.

Do tej pory mały Haydn, nie wielkie uczynił był postępy w czytaniu i pisaniu. Frank przedewszystkiem zajął się jego elementarnem wykształceniem, przy czem nie zapomniał i o nauce religii. Najgłówniejsza zaś uwaga zwróconą była na śpiew i na grę na skrzypcach. Frank uczył go także bić w kotły i wykazywał mu korzyści wynikające dla muzyka z tego rodzaju ćwiczenia. Józef też, pewnego razu gdy był sam w pokoju, wziął koszyczek zakryty płótnem i tak zaczął na nim takt wybijać, że w zapale swoim wcale nie spostrzegł, jak mąka znajdująca się wewnątrz, zaczęła się sypać, oraz, że przez tarcie jakie powodował, pokrycie uprzywilejo-

wanego krzesła jego nauczyciela zupełnemu uległo zniszczeniu. Tym razem skończyło się na lekkiej tylko reprymandzie, chociaż zwykle bywał za najmniejsze uchybienie karanym z nadzwyczajną surowością a szczególnie miewało to miejsce przy lekcyi muzyki. Haydn, nauczył się wtedy grać wprawnie na kilku instrumentach. W późniejszych latach rzekł on raz do jednego ze swoich przyjaciół: Frankowi, choć tenże już jest w grobie, ciągle jeszcze jestem wdzięcznym za to, że mnie w tak różnorodny sposób zajmował i kształcił, pomimo to, że w jego domu więcej nabrałem się szturgańców, niż było co jeść.“

Tak ubiegło mniej więcej lat dwa, gdy pewnego dnia zawitał do Hainburga cesarski nadworny kapelmistrz Jerzy von Reuter. W rozmowie z miejscowym proboszczem, Reuter napomknął, że szuka chórzystów na miejsce wakujące w stolicy. Proboszcz słyszał był raz Haydna i przypomniał sobie, że czysty i dźwięczny głos tegoż, w miasteczku sprawił był nie małe wrażenie. Wspomniał więc o tem kapelmistrzowi. Posłano po Haydna i gdy tenże przybył ze swoim nauczycielem, kapelmistrz zaledwie mógł wstrzymać się od śmiechu na widok dziwacznego kostyumu w jakim się przedstawił zaproponowany kandydat. Ośmioletni Haydn, wedle ówczesnego zwyczaju nosił był dla ochędóstwa zaleconego mu od dzieciństwa przez rodziców, podczesaną w górę perukę. Wyszarzane ubranie harmonizowało z jego blademi i zapadłemi policzkami. Zapewne wtenczas był on trzymanym na bardzo cienkim chlebie. Reuter ze stojącego na stole talerza włożył mu do kapelusza całą garść czereśni, które biedny chłopczyk zjadł z wielkim apetytem. Z łacińskich i włoskich kanonów, jakie mu Reuter kazał śpiewać, Haydn nie zrozumiał ani jednego słowa, ale wyśpiewał je z siłą i pewnością. Reuter zadowolony z tej próby zapytał: „Czy umiesz mój mały, robić trele?“ Haydn bez namysłu odpowiedział: „że tego nawet jego wujaszek nie potrafi!“ Uśmiawszy się serdecznie nad naiwną odpowiedzią malca, która w niemały kłopot wprawiła jego nauczyciela, Reuter chciał nauczyć Haydna jak się robią trele. Pokazał mu tedy w jaki sposób trzeba przykładać język do zębów i t. p. Haydn popróbował i za trzecim już razem udało mu się tak doskonale, że Reuter głośno wołając „brawo!“ sięgnął do kieszeni i podarował małemu wirtuozowi sztukę srebrną.

Pomówiwszy następnie z ojcem Haydna i otrzymawszy zezwolenie tegoż na zajęcie się losem syna, Reuter rzekł do małego Józefa: „Pojedziesz ze mną!“

II.

Po przybyciu swem do Wiednia, Hajdn zaliczony został do grona chłopców chóralnych kapituły Ś-go Szczepana. Tu kształcił się on w śpiewie pod kierownictwem samego Reutera i innych nauczycieli. Nie zaniedbywał on też innych instrumentów i w tym czasie zaczął obznajmiać się z teoryą muzyki. Jego zamiłowanie dla sztuki było tak wielkiem, że zajmowanie się innemi naukami straciło dla niego wszelki powab. Tylko w łacińskim języku robił on niejakie postępy.

Reuter tak był zachwycony talentem i pilnością swego ucznia, iż w jednym z listów pisanych do starego Haydna, oświadczył, że chciałby tenże miał dwunastu takich synów, zająłby się losem ich wszystkich. Dotrzymał też słowa i obadwaj młodzi bracia Józefa: Michał i Jan, przyjęci zostali na chórzystów do kapituły Ś-go Szczepana. Radość Józefa była wielką, gdy mógł być nauczycielem swoich braci. Sam on też ciągle robił wielkie postępy w muzyce i nie pomijał żadnej sposobności dla dalszego wykształcenia swego talentu.

Wielką zachętą dla niego były liczne koncerty w Wiedniu, gdzie dawali się słyszeć najsłynniejsi artyści.

Zadziwiającą była jego pracowitość młodzieńcza. Przedłużał on zazwyczaj daleko po za przepisany dla uczniów chóru zakres dwugodzinnych codziennych cwiczeń, swoje exercycye i to jedynie z zamiłowania do obranego przez siebie zawodu. Zapał dla muzyki szedł u niego w parze z jego talentem. Każdą wolną chwilę poświęcał on też pracy na tem polu, która często przeciągała się do późnej nocy.

Już upłynęło było prawie pięć lat poświęconych muzyce, gdy częste udzielane mu pochwały, wzbudziły w nim chętkę popróbowania sił swoich na polu kompozycyi. Próba ta jednak wypadła bardzo niefortunnie; napisał bowiem szesnastogłosową mszę i gdy ją przedstawił swym nauczycielom i kapelmistrzowi Reuterowi, został przez nich najokropniej wyśmianym.

Wtenczas to dopiero Haydn poznał całą trudność sztuki, której się oddawał. W późniejszych latach, wspominając raz w poufnej gawędzie ze swym przyjacielem ów peryod swojego życia, rzekł: „Zdawało mi się wtedy, że jest najlepiej jeżeli papier jest zupełnie zapełniony nutami. Reuter często łajał mnie za moje niedojrzałe utwory, a szczególnie za to, że się porywam pisać na szesnaście głosów, gdy tymczasem nie umiałem jeszcze pisać na dwa głosy!“

W takim stanie rzeczy, mianowicie jako chórzysta, Haydn mógł łatwo był się zniechęcić do samodzielnego tworzenia. Wprawdzie był on zabezpieczonym od głodowej śmierci, ale żywność jaką otrzymywał w kapitule Ś-go Stefana, była tak mizerną, że jego żołądek często uporczywie dopominał się o swoje prawa. Szczególną więc uwagę zwrócił na wykształcenie swego głosu, aby go jako lepszego śpiewaka, częściej wzywano do pomocy przy koncertach i do towarzystw muzycznych, przyczem zdarzała się nieraz dobra sposobność zaspokojenia trapiącego go głodu. Przy wszystkiem tem, nie tracił on jednak nigdy dobrego humoru.

W czasie jego ośmioletniego pobytu przy kapitule Ś-go Szczepana zdarzyła mu się nie jedna pocieszna awanturka. Gdy budowano pałac cesarski w Schönbrunie, Haydn podczas Zielonych Świątek, musiał śpiewać w tamecznym kościele. Pewnego razu wdrapał on się był z innemi chłopcami na rusztowanie, gdzie pomiędzy deskami wiele robił hałasu. Nagle spostrzega damę. Była to cesarzowa Marya Teresa, która rozgniewawszy się wydała rozkaz, aby zapobieżono na przyszłość podobnym nieporządkom i jeżeli jeszcze kiedy jaki chłopiec wejdzie na rusztowanie, aby go oćwiczono. Haydn następnego dnia w młodzieńczej swej lekkomyślności znowu hałasował na rusztowaniu, został złapany i otrzymał plagi. Wiele lat potem, gdy już był w służbie księcia Esterhazy, w rozmowie z Maryą Teresą wspomniał o owym figlu i podziękował za otrzymaną chłostę. Musiał on wtenczas cały ten wypadek opowiedzieć, co wywołało śmiech ogólny.

O tem, co z niego będzie, gdy przestanie być chórzystą, nie myślał wcale. Termin jednak popróbowania sił własnych i wyrobienia sobie dzielnego stanowiska szybko się zbliżał. Zaczął on tracić swój piękny sopran i kapelmistrz Reuter widział się zmuszonym wypowiedzieć mu miejsce.

Drobna okoliczność przyśpieszyła jego wystąpienie z kapituły, Haydn bowiem, swywoląc obciął jednemu z kolegów warkocz i został o to oskarżony przed kapelmistrzem. Skazano go na *łapy*, t. j. razy na rękę. Haydn miał nadzieję, że się wywinie od kary, jeżeli zadeklaruje, że niezwłocznie opuści kapitułę, ale Reuter był nieubłaganym. „Nic nie pomoże!, rzekł tenże, naprzód dostaniesz co ci się należy, a potem możesz sobie iść!“ I dotrzymał słowa. Kara została wymierzoną i Haydn otrzymał uwolnienie.

Bez pieniędzy, bez przyjaciół, Haydn w nędznej odzieży, bez żadnych widoków na przyszłość, był teraz pozostawiony swojemu losowi. Nadeszła pora w której geniusz Haydna musiał przez energią i wytrwałość stworzyć sobie egzystencyą. Od rodziców nie mógł on się spodziewać żadnej pomocy, gdyż ci żyli sami w największej biedzie. Los jednak syna obchodził ich mocno. W często pisywanych listach po kilkakrotnie objawiali oni życzenie, aby zechciał poświęcić się stanowi duchownemu; ale on bez bliższego wytłómaczenia się, po prostu oświadczył: „nie będę księdzem!“ Na drodze którą sobie był obrał, nic mu się nie uśmiechało; wrodzona też skromność, nie pozwalała mu w niczem się wyróżnić, dla pokazania światu swoich talentów i swoich wiadomości w muzyce.

Od czasu do czasu, wraz z braćmi swoimi odwiedzał on swoich rodziców w Rohrau. Tam po dawnemu odbywały się śpiewy. Ojciec Haydna zawsze obstawał jeszcze przy swem prawie akompaniowania na harfie. Wszystko szło jak niegdyś, z tą tylko różnicą że teraz młodzi muzycy zwracali uwagę ojca na błędy jakie robił w swoich przygrywkach. Stąd powstały spory i stary zawsze powoływał się na kogoś, co go w jego młodości tej lub owej piosnki nauczył, przy czem stanowczo utrzymywał, że to był człowiek *który się pewno musiał znać na rzeczy!* Synowie znów ze swej strony, powoływali się na kapelmistrza Reutera, że *ten* niezawodnie wie jak powinno być dobrze. Gdy każdy uporczywie obstawał przy swojem, i zaciągnęła się na długo sprzeczka, ojciec palnął energicznie: „wyście wszyscy osły!“ i na tem kończyła się dysputa.

W takich razach Haydn nie tylko przez uszanowanie dla ojca ale i z powodu niedo-

wierzania w siłę swej wiedzy, chętnie ustępował. Nieufność w siebie samego jeszcze więcej się w nim potęgowała w miarę tego o ile więcej rozmyślał nad swem smutnem położeniem. Niezmiernie ciężko mu przychodziło zarobić na kawałek chleba. Porównywał on się z innymi młodymi muzykantami, porównywał ich bogate szaty, ze swoją wyszarzaną odzieżą, i zaczął zastanawiać się nad tem, skąd ta różnica pochodzić może? Owocem jego rozmyślań nad rozwiązaniem tej kwestyi było to, że doszedł do przekonania, iż tylko przez pracę i wytrwałość dojść może do poprawienia swojego bytu.

Takim to medytacyom oddawał się Haydn w nędznym pokoiku szóstego piętra, domu Nr. 1220, na placu Ś-go Michała. Pokoik ten nie miał pieca i zaledwie był zabezpieczonym od wiatru i deszczu. W zimie na kołdrze przymarzała para, a woda, po którą musiał rano schodzić na dół, zanim dostała się do tych sfer wyższych, nie raz w lód się zamieniała. Wśrod głodu i zimna szukał on pociechy u starego od robaków stoczonego klawikordu; czasami dla rozweselenia się przygrywał też sobie na skrzypcach. Raz, gdy już bieda bardzo dokuczyła, przyszła mu nawet myśl wstąpienia do zakonu Serwitów, ale wkrótce rozstał się z tym planem, nie mogąc go pogodzić ze swojem przekonaniem.

Szczęśliwy jego temperament, powstrzymał go jednak od rozpaczy. Gdy w lecie deszcz a w zimie śnieg, przeciskał się przez szpary dachu i Haydn budził się zmoczony lub oprószony śniegiem, to nawet i w takiej przygodzie umiał pocieszyć się jakim humorystycznym wybrykiem.

Przemieszkując w Wiedniu, Haydn musiał wyrzec się wszelkich przyjemności w jakie tak bogato obwitowała gwarna i lubiąca się bawić stolica. Czas upływał mu na lekcyach, które udzielał i przy pracy nad sobą samym. Przestawał ontylko z kilkoma przyjaciółmi i ubóstwo jego trzymało go na uboczu od świata. Rzadko zdarzyło się, że zawołano go do grania w jakiej orkiestrze na skrzypcach. Serdecznie się wtedy cieszył, gdy mu wpłynął jaki niespodziewany grosik.

Położenie jego trochę się poprawiło, gdy otrzymał posadę chórzysty u *Braci miłosierdzia* z płacą 60 guldenów rocznie. Za to wynagrodzenie musiał co niedziela i co święto o dziesiątej rano grać na organach w kaplicy hrabiego Haugwitza, a o jedenastej w kościele Św. Szczepana. Te ostatnie obowiązki przynosiły mu za każdym razem jeszcze dodatkowych 17 krajcarów. Z sercem przepełnionem wdzięcznością ku łaskawej Opatrzności, Haydn tym sposobem opędzał najkonieczniejsze swoje potrzeby i czuł się, jak to później sam przyznawał, bardzo szczęśliwym. „Gdym siedział przy swoim fortepianie, mówił on, nie zazdrościłem żadnemu królowi! A gdy w owym czasie kilka sonat Filipa Emanuela Bacha wpadło mi w ręce, nie mogłem oderwać się od fortepianu, dopókim je wszystkie nie przegrał. Kto mnie dobrze zna, dodał on, ten spostrzeże, że miałem bardzo wiele do zawdzięczenia temu sławnemu mężowi. Bach sam kazał mi z tego powodu objawić swe zadowolenie."

Pewnego razu, Haydn w przystępie dobrego humoru zaprosił był kilku kolegów, aby w porze nocnej zebrali się na ulicy zwanej *der tiefe Graben*. Tu wyprawili mieszkańcom tej części miasta szaloną kocią muzykę. Nadbiegła straż która zdołała jednak schwytać tylko artystę z bębnem i jednego ze skrzypków. Skończyło się na kozie i śmiechu. Sprawcy nie wykryto.

Jeden z przyjaciół Haydna, Karol Ditters (który później za cesarza Józefa otrzymawszy szlachectwo pisał się Ditters von Dittersdorf, i stał się głośnym jako kompozytor kilku ulubionych oper), gustował w tego rodzaju wesołych awanturkach. Gdy pewnej nocy o bardzo spóźnionej godzinie dwaj ci przyjaciele używali przechadzki po ulicach Wiednia, doleciały ich z jakiejś piwiarni dźwięki muzyki i Haydn poznał swego menueta. Grano go haniebnie. Haydn nie mógł oprzeć się pokusie i wstąpił.

— Czyj to menuet? — zapytał on, stanąwszy obok pierwszego skrzypka.

— Haydna — odparł tenże sucho.

Wtenczas Haydn z wyrazem wielkiego lekceważenia zawołał głośno:

— Co mi to za menuet? Nic nie wart!

Muzykanci oburzeni tem do najwyższego stopnia, porwali się gwałtownie z miejsc swoich i byliby porządnie obili Haydna, gdyby nie Ditters, który zasłoniwszy winowajcę swoimi szerokiemi barkami, nie był mu ułatwił ucieczki.

Wkrótce po swem wystąpieniu z kapituły Św. Szczepana, właśnie w tym czasie gdy za mało miał zajęcia a za wiele niezaspokojonego apetytu, z rozpaczy postanowił był udać się do Maria-Zell. Przedstawiwszy się dyrektorowi tamecznego chóru jako wychowaniec kapituły Św. Szczepana, pokazał mu kilka swoich kompozycyj i prosił o przyjęcie go na chórzystę. Otrzymał jednak odmówną odpowiedź, a gdy zaczął nalegać, dyrektor dodał: „Mamy tu z Wiednia aż zawielu takich włóczęgów co wydają się za chórzystów, a gdy przyjdzie do rzeczy, nie umieją trafić ani jednego tonu!" Po takiej odprawie Haydn udał się do kościoła. Na chórze wkrótce zabrał znajomość ze śpiewakami i poprosił jednego z nich, aby mu dał nuty jakie tamten właśnie trzymał w ręku i pozwolił zastąpić go w śpiewie. Młody chórzysta odpowiedział że tego uczynić nie może. Ale zaledwie muzyka się rozpoczęła, gdy Haydn wyrywa mu nuty z ręki i sam tak pięknie śpiewa, że wzbudza ogólne podziwienie. Księża, których uwagi nie uszedł piękny głos nieznajomego, zaprosili go na obiad i zatrzymali następnie na cały tydzień w Maria-Zell, z czego Haydn był niezmiernie kontent, gdyż gościnność z jaką go tu przyjmowano, była pod każdym względem wzorową.

III.

Nadszedł jednak czas, w którym położenie materyalne Haydna zaczęło się trochę polepszać. W tym samym domu, gdzie Haydn miał swój pokoik na poddaszu, mieszkał znany i powszechnie uwielbiany kompozytor oper Metastasio. Tenże poznawszy Haydna bliżej, zaproponował go na nauczyciela fortepianu dla córki swego przyjaciela Martineza, za co Haydn w ciągu lat trzech, miał mieć bezpłatne obiady.

Ciągła styczność z Metastasiem bardzo korzystny wpływ wywarła na dalsze wykształcenie Haydna. Metastasio nie tylko udzielał mu lekcyj łacińskiego języka ale nadto był dla niego nauczycielem i przewodnikiem pod względem wiedzy i smaku, nie tylko w muzyce ale i w dziedzinie sztuk pięknych w ogóle, co bardzo się później przydało Haydnowi jako kompozytorowi.

Jeszcze lepiej pokierowały się jego interesa gdy zrobił znajomość ze słynnym kapelmistrzem Mikołajem Porpory z Neapolu. Tenże dawał był lekcye śpiewu kuzynce posła weneckiego Correra, i bądź to z powodu swego podeszłego wieku, bądź też dla tego, że sam nie chciał się trudzić, włożył na Haydna obowiązek akompaniowania przy lekcyach na fortepianie. Haydn z zapałem oddawał się tej pracy, pomimo to, że dość często i nie zasłużenie doznawał niedelikatnego a nawet szorstkiego obejścia. Opowiadał on potem, że wtenczas dość nasłuchał się wyrażeń, jak *asino, coglione, birbante*; nie obeszło się też bez szturgańców!... „Znosiłem to wszystko z cierpliwością, mówił, gdyż od Porpory wiele korzystałem pod względem śpiewu, kompozycyi i w języku włoskim.

Haydn, bardzo się ucieszył gdy mu Porpora zaproponował, aby z nim razem pojechał do wód w Meinersdorf (niedaleko od Bruck), dokąd się udał był Correr ze swoją kuzynką. W dalszym ciągu odbywały się tu lekcye, przy których Haydn musiał akompaniować. Jego pensya miesięczna wówczas wynosiła sześć cekinów, i pomimo tego, że Porpora nie wiele się nim zajmował, a nawet używał do posług jak zwyczajnego lokaja, w ciągu tych trzech miesięcy które przepędzili w Meinersdorfie, Haydn czuł się bardzo szczęśliwym.

Po powrocie do Wiednia zdarzyło mu się też troche wygodniejsze mieszkanie w rodzinie pewnego niezamożnego pończosznika. Prawda, że było cieplej niż na poddaszu, ale za to w braku łóżka, Haydn musiał spać na podłodze. Poczciwej tej rodzinie Haydn w późniejszym czasie wspaniałomyślnie wypłacił się z długu wdzięczności. Po śmierci pończosznika wdowa podupadła i Haydn wyznaczył jej pensyą miesięczną, którą znowu po zgonie tejże, jej córka dożywotnio pobierała jeszcze przez lat trzydzieści.

Podczas swego pobytu w Meinersdorfie, Haydn zaznajomił się z Gluckiem, z cesarsko-królewskim kapelmistrzem Wagenseilem i innymi znakomitymi ludźmi. Chwalili oni go często z powodu jego umiejętnego akompaniowania i to stało się dla niego bodźcem do zajęcia się na nowo, dawniej już gruntownie przestudyowaną teoryą muzyki. *Kompendium* Bacha, które sobie zaraz po powrocie do Wiednia kupił, stało się jego przewodnikiem w tej mozolnej i uciążliwej pracy.

W r. 1751 Haydn napisał *kwartet* w którym wystąpił w zupełnie nowym, dotąd w świecie muzykalnym zupełnie nieznanym kierunku. Mozart i Bethoven idąc w jego ślady znacznie udoskonalili ten nowy rodzaj

kompozycyi. Jeden z lepszych znawców muzyki owego czasu, kapelmistrz Reichardt, słusznie mówi w swoich listach: „Haydn stworzył kwartet, wysnuwszy go z rdzenia swej miłej i oryginalnej indywidualności. Co do naiwności i wesołego humoru pozostanie on na tem polu jedynym. Silna natura i bogata fantazya Mozarta sięgała dalej; tenże wybudował cały pałac na fantastycznym *Domku letnim* Haydna. Bethoven wcześnie zamieszkał w tym pałacu; jemu też tylko pozostało wyrażenie swego odrębnego charakteru w właściwej formie, przez dodanie potężnej wysoko w górę wystrzelonej wieży, na której chyba nie łatwo komu przyjdzie jeszcze co postawić."

Przyczyną do napisania tego kwartetu (B dur) był niejaki baron Fürnberg, który poprosił Haydna o skomponowanie czegoś nowego dla kółka miłośników muzyki, odbywających swoje zebrania w majątku Weinzierl pod Wiedniem. Pomimo przychylnego przyjęcia tego kwartetu przez owo grono znawców, publiczna krytyka miała mu wiele do zarzucenia i Haydn łatwo mógł się zniechęcić do dalszego probowania sił swoich w tym nowym rodzaju. Teoretycy dawnej szkoły nie mogli mu tego wybaczyć że jak utrzymywali, „poniżył muzykę do komicznej igraszki." To było ich głównym zarzutem. Dalej mężowie ci utrzymywali, że podwajanie melodyi przez oktawę lub prowadzenie pierwszych i drugich skrzypiec w oktawie, jak to Haydn uczynił był w swoim kwartecie, jest zupełnie niewłaściwem. d. c. n.

MAKSYM

Opowiadanie z obyczajów kreolskich

przez

Th. Bentzona.

W roku 185... w głównym teatrze Nowego Orleanu, słynna śpiewaczka przybyła z Europy występowała w Łucyi. Tłum cisnął się pod krużgankiem, w wieńcu lóż nazywanych „la Corbeille" wachlarze igrały, jak tylko w Luizyanie igrać umieją, z tym wdziękiem wymownym, któryby niemą kokieteryą nazwać można...

Urok talentu tak był atoli wielki, że mężczyzni słuchali śpiewaczki nie doznając najmniejszego roztargnienia.

Burza oklasków rozległa się gdy zapadała kurtyna i posypał się grad bukietów, przez kilka sekund nie słyszałeś nic prócz chaotycznej wrzawy, jaka napełnia zwykle powietrze w chwilach potężnego wzruszenia; następnie ruchliwość kreolska wzięła górę, i zachwyt ogólny ustąpił wkrótce pod naciskiem świeżych wrażeń. Wielki ruch powstał w orkiestrze i na balkonie, loże się pootwierały i nastąpiły wizyty; rozpoczął się ogień krzyżowy pochlebnych słówek i wymownych spojrzeń, tem żywszy, że trwać miał tylko podczas międzyaktu. Ćma elegantów rozbiegła się po lożach pierwszego piętra, i w koło każdej będącej w modzie piękności potworzyły się koła wielbicieli; jednocześnie zaś grupy widzów porwane tym samym wirem, zapełniały galeryę, gdzie inne kobiety, nie mniej od tamtych piękne, nie mniej strojne, zdawały się wyzywać ich raczej, niż spokojnie na hołdy ich oczekiwać. Po ich ruchach swobodnych, po krzyczącej jaskrawości i wątpliwym smaku ich ubiorów, po niezatartych cechach plemiennego pochodzenia, zdradzających się mniej lub więcej w ich aksamitnych oczach, poznawałeś łatwo czarujące mulatki, których upajające powaby są tak nieprzepartej siły, iż nie wahano się przypisywać jej skutkom napoju miłosnego. Istoty te, na ukształtowanie moralne których rozkosz, próżność naiwna i lekkomyślność w równej składają się mierze, odurzone zbytkiem, mają w sobie coś dziecinnego, coś, co przypomina czar wonnego kwiatu i płochliwość płowej zwierzyny; życie upływa im, podług wyrażenia amerykańskiego „na nastrajaniu serca do śpiewu."

Niech nikt jednak nie myśli, iż wzgląd na moralność publiczną był powodem, że w teatrze wyznaczono im miejsce oddzielne, którego granic nie wolno im było przestąpić; granicę tę zakreślało jedynie uprzedzenie do ludzi odmiennej barwy ciała. Każdy mięszaniec, mniejsza o to w jakim stopniu, naraziłby się niechybnie na ukamienowanie, gdyby mu przyszło do głowy zająć miejsce pomiędzy białoskórą publicznością. Zresztą tak mulatki jak kwarteronki nie mogły się bynajmniej uskarżać na brak względów ze strony mężczyzn, owszem ci ostatni tłumnie się do nich cisnęli, mimo potępienia ciążącego na ich żółtej cerze; tylko pogardliwe szyderstwa kobiet światowych, oraz natrząsanie się publiczności ciemniejszej barwy, zajmującej ostatnią galeryę, protestowały przeciwko tej zuchwałej i wspaniałej wystawie wdzięków krwi mięszanej.

Trzykrotne uderzenie smyczkiem, oznajmujące akt drugi, położyło koniec głuchemu gwarowi tysiąca prowadzonych rozmów.

Nastała chwila hałaśliwego ruchu między spektatorami, będąca wstępem do najgłębszego milczenia. Podczas tej wrzawy wszedł do sali młody człowiek, tylko co przybyły, i zwrócił swe kroki wprost ku orkiestrze, gdzie miał swoje krzesło; właśnie chciał siadać, gdy go powstrzymał głos stanowczy i rozkazający wychodzący z stali sąsiedniej:

— Przepraszam pana, ala miejsca tego zająć nie możesz.

Przybyły tylko co z Francyi cudzoziemiec, zwrócił wzrok na sąsiada który go w ten sposób zaczepił. Był nim młody panicz, niedbale rozparty, którego zniewieściałe i ociężałe zarazem rysy przedstawiały typ hiszpański, dość powszechny w Luizyanie.

Nowoprzybyłego zdziwiło niemało oburzenie, jakiem tchnęła fizyonomia sąsiada; wnosząc jednak z słów jego, że miejsce było zajęte, zamierzał już poszukać sobie innego, gdy pan Vernon, były kupiec, człowiek niezmiernie bogaty ujął go nagle za ramię:

— Chodź lepiej ze mną, kochany Maksie, moja żona dopytuje się o ciebie, rzekł wyprowadzając go.

Mała ta scena przeszła niepostrzeżona, uwagę wszystkich bowiem pochłaniała muzyka Donizettego; jednakowoż w dziesięć minut później, wiele lornetek skierowało się ku jednej z lóż przedsienia, i przykład ten nieomieszkał obudzić ogólnego naśladownictwa. Nikt może mniej od pani Vernon nie mógł być przedmiotem tej ogólnej ciekawości; przyzwyczajono się od dawna widywać ją co sobotę w tej samej loży i jeśli spoglądono ku niej, to jedynie z uszanowaniem należnem jej wiekowi. Szanowna peruka pana Vernon również była zbyt znaną, aby miano ją studyować z takiem zajęciem. Celem więc wszystkich tych spojrzeń nie mógł być kto inny, jak młodzieniec znajdujący się w ich towarzystwie. Był on w istocie dość pięknym by obudzić podziwienie, ale pewna zuchwałość jaka się w tym podziwie przebijała, zakrawała już nieco na impertynencyę; w każdym jednak razie ten co był jej przedmiotem, nie spostrzegał się na tem, będąc zajęty zupełnie czem innem.

Nie spuszczał on z oka pewnej loży, na balustradzie której wspierało się młode dziewczę, podobne do białej różyczki w pośród obłoków muślinu, które ją okrywały. Zdawała się mieć około lat ośmnastu lub dziewiętnastu, i była wątlejszą niż większa część tych przedwcześnie rozkwitłych piękności, któreś tu spostrzegał dokoła. Jej płeć przezroczysta czyniła ją raczej podobną do mieszkanek z pod północnego nieba, a czysto zakreślony owal jej twarzy, dziecinnej prawie jeszcze, wyrażał niewinność, którą u czarujących Luizyanek powaby chorobliwej kokieteryi zbyt wcześnie zastępować zwykły. Ta młoda dzieweczka nie myślała o tem wcale jak się podobać; kochała, i serce jej mówiło że jest wzajem kochaną. Jej wielkie oczy, które jakaś siła magnetyczna utrzymywała zwrócone w jeden punkt sali, wyrażały trwogę dziewiczą i zachwyt niewinności, której spokój zakłóciło pierwsze marzenie. Namiętna muzyka i melancholiczny poemat, składały się w części na to marzenie, ale było ono tylko echem uczuć nieznanych jej dotąd, a budzących się w głębi serca.

Podczas duetu miłosnego w pierszym akcie, uczucia te wywołały na jej lica przelotny rumieniec, a w chwili obecnej na widok Łucyi, którą boleśna fatalność wydzierała na zawsze kochankowi, wyciskały łzy z jej oczów spływające na bukiet jasminu, którym zasłaniała twarz by ukryć swoje wzruszenie; te piękne łzy młodości, których źródła nie zatruła jeszcze ani gorycz, ani samolubstwo,

— Panna Hamlin jest wątłą, ale wcale nie brzydką, rzekła pani Vernon, której baczności nic nie uchodziło. Czy pan ją znasz bliżej?

— Odbyliśmy podróż na pokładzie tego samego statku — odrzekł młodzieniec, przybierając nagle wyraz obojętności, a odwróciwszy się przy tej odpowiedzi, po raz pierwszy dopiero przebiegł wzrokiem po piętrach sali i uderzyło go szczególniejsze zachowanie się znacznej liczby spektatorów.— Co się to stało? spytał, wychylając się poza balustradę i szukając na scenie wyjaśnienia; ale nie znalazł nic do zarzucenia artyście który w tej chwili grą swoją przechodził samego siebie. Loża w której się znajdował intereso-

wała jednak coraz więcej loże sąsiednie, szepty jakieś przebiegały z ust do ust; wiele osób opuszczało salę z wielkim hałasem, jakby chciały tem zaprotestować przeciwko jakiejś nieprzyzwoitości; jedna z nich zawołała trzaskając drzwiami:

— Co za zuchwałość! głosem donośnym który wstrząsnął cały parter i wywołał z wielu stron energiczne „cicho!"

Młodzieniec albo nierozumiał wcale przyczyny tego zgorszenia, albo też w istocie był zuchwałym wielce.

Właśnie zwracał się z pytaniem do pana Vernon, kiedy otwarły się drzwi i przyjaciel tego ostatniego, adwokat Metman wszedł raptem do loży.— Zechciej wyjść na chwilę, mam z tobą do pomówienia, rzekł.

Pan Vernon, dosyć wzburzony, udał się za nim na korytarz.

— Widzisz, odezwał się adwokat, oto następstwa twojej niepojętej nieroztropności. Jeżeli *on* nie wyjdzie z teatru natychmiast, może przyjść łatwo do manifestacyi, będącej obelgą zarówno dla ciebie jak dla niego.

Pan Vernon nie odrzekł słowa, rozumiejąc że Metman przychodził w delegacyi od pewnej części publiki. Powrócił do swojej żony i rozmówił się z nią po cichu. Pani Vernon zdała się być zrazu zakłopotaną, ale naprędce zmyśliła chorobę, jakoby zmuszającą ją do spiesznego opuszczenia teatru.

— Podaj mi pan ramię— rzekła do Maksa widocznym wysiłkiem.

Młodzieniec podał jej ramię, zdziwiony że z żądaniem tem nie zwróciła się raczej do swego męża.

Tłumy ciekawych gromadziły się na wschodach, któremi Maksym przechodził i widocznem było, że tylko szacunek dla kobiety powstrzymywał je od wybuchu zuchwalstwa.

— Co to wszystko wreszcie znaczy? zapytał zniecierpliwiony Maksym.

Ale pani Vernon szepnęła tylko.—Spieszmy się.

Podczas kiedy jej pomagał wsiąść do powozu, ironiczne brawo rozległo się za jego plecami. Zagadka, którą od pół godziny napróżno starał się rozwikłać, gniewać go już w końcu zaczynała.

Odwrócił się też gwałtownie z spojrzeniem tak groźnem i wyzywającem, o jakie niktby go z jego przyjaciół nie był posądził. Człowiek na którego padło to spojrzenie, był właśnie owym dandysem, który mu wzbronił zająć miejsce w orkiestrze. Młody ten panicz, kręcąc sobie papierosa, uśmiechał się z wyrazem zimnego szyderstwa na ustach, ocienionych puszkiem wiotkich wąsików.—Czy nie raczysz mi pan objaśnić do kogoż to stosują się twoje oklaski? zapytał zapytał Maksym sucho.

— Najchętniej, odpowiedział zagadnięty tym samym tonem, przyklaskuję pańskiemu wyjściu.

— Mojemu wyjściu?

— Tak jest, był już czas aby nastąpiło wreszcie w ten lub inny sposób.

Zniewaga brzmiała jeszcze wyraźniej w głosie niż samych słowach. Maksym zbladł, zacisnął usta, i twarz jego przybrała nagle wyraz namiętnego uniesienia. Z chyżością błyskawicy rzucił się ku wschodom, na których stał młody napastnik z tem samem wyzywającem szyderstwem na ustach, jakby nań czekać się zdawał. Ale spotkawszy pannę Hamlin na jednym z wyższych stopni, zawahał się; jednem spojrzeniem błagalnem, obłąkanem prawie, uśmierzyła jego uniesienie. Biedne dziewczę, białe jak jej suknia, wspierało się omdlałe niemal na ramieniu ojca.—Panie de Lora! zawołał tenże na młodego kreola, tonem niepokoju i wyrzutu...

W tej samej chwili pan Vernon schwycił Maksa za ramię. — Na Boga, ani kroku dalej! wyszeptał. Czeka cię tam nie zwada, ale ogólne oburzenie. Wszyscy się na cię uwzięli.

— Wytłómaczysz mi pan co to znaczy? zapytał Maks cisnąc rękoma czoło oblane zimnym potem.

— Dobrze, pójdź tylko.

Maks dał się pociągnąć nie wiedząc nawet dobrze co robi.

— Biedny chłopiec! mówiła jakaś kobieta, co za wstyd!

— Alboż nie sam go szukał, i będziesz go jeszcze żałować? odparł jej mąż.

— Jednak to okrutnie, rzucić tak człowiekowi w oczy, jego zniesławiające pochodzenie, odezwał się ktoś trzeci.

— Być może,... ale gdyby się nie znalazł od czasu do czasu jaki impertynent i nie dał przykładu, ludzie ci z dniem każdym posuwaliby dalej swe zuchwalstwo i stali się wreszście do niezniesienia.

Maksowi obijały się o uszy te zdania niezrozumiałe. W przystępie szaleństwa byłby wyzwał salę całą, gdyby pani Vernon, która tym razem nie na żarty zemdlała, nie zwróciła uwagi jego w inną stronę. Leżała nieprzytomna na poduszkach powozu. Pan Vernon wepchnął Maksa do karety, wsiadł sam i kazał ruszyć woźnicy.—Co za wypadek nieszczęsny! lamentował. Starania jakich wymagała żona, dozwoliły mu przez cały ciąg drogi unikać odpowiedzi na gorączkowe pytania młodzieńca. Stanąwszy przed piękną kamienicą w dzielnicy amerykańskiej, którą zajmował, powierzył panią Vernon staraniom pokojówki, i odwiózłszy Maksa do hotelu świętego Karola, wysiadł z nim razem.

— Uspokój się, rzekł do Maksa pan Vernon, sam nie mało wzburzony. Pamiętaj przecie, że jeżeli ten kraj zamyka się przed tobą fatalnie, reszta świata stoi ci otworem, i wybacz mi przykrość jaką ci będę musiał sprawić. Oszczędzałem ci jej tak długo, dopóki mi na to okoliczności pozwalały, może nazbyt długo, bo uprzedzony wcześniej, byłbyś może spadł z mniejszej wysokości. Ale nie! zakłócać spokój dziecka, stawiać mu przed oczy niesprawiedliwość, dzikie przesądy tego świata, wpajać w nie nienawiść względem tych co je uciemiężają bez żadnej przyczyny, byłoby to je zasmucić i zepsuć raczej niż do życia zahartować. Czas jeszcze nie był przyszedł, i może nie przyszedłby nigdy; gdyby nie twój nieszczęsny zamiar opuszczenia kraju, w którym żyłeś szczęśliwie, i przybycia tu, na drugi kraniec Oceanu, gdzie cię na samym wstępie czekało wyjaśnienie tak okrutnej prawdy. Było to życzeniem twego ojca, który ci miejsce zastępuję, aby cię żadna troska nie drasnęła, bym przed tobą ukrywał, przynajmniej dopóki będzie można, gorzką rzeczywistość. Spełniałem jego wolę aż dotąd, ale dziś doszedłeś już do tego stopnia dojrzałości, który mie z tego zobowiązania zwalnia.

Maksym słuchał z głową spuszczoną, brwiami ściągniętemi, nie przerywając panu Vernon tej długiej wstępnej oracyi. Jakieś złowieszcze przeczucie przejmowało go dreszczem: nie było mu już pilno aby jego opiekun przystąpił do rzeczy. Cała jego młodość przesunęła się przed nim, uśmiechnięta, roskoszna, obfitująca we wszystko co tylko zapragnąć można, wolna od wszelkiej chmury; czuł, że szczęśliwe te chwile przeminęły bezpowrotnie, i że ciemną tylko przyszłość ma przed sobą. Maksym d'Arcy, liczący dopiero lat dwadzieścia cztery, przeżył w istocie ostatni dzień swego szczęścia. Nigdyby mu przez myśl nie przeszło o czem się tego wieczora dowiedział: że jego matka urodziła się i umarła niewolnicą. Jego samego dziecięciem jeszcze wysłano do Francyi, na wychowanie, jak mniemał, a właściwie dla tego, żeby usunąć go od stosunków z ludźmi jego pochodzenia. Z rodzinnego kraju pozostało mu tylko mętne wspomnienie, jakie sen zwykle zostawia po sobie. Przypominał sobie fale żółtawe wielkiej rzeki biegnącej do modrego morza; las niezliczonych masztów okrętowych, gaje olbrzymich cyprysów o pniach prostych i gładkich, ogrody pomarańczowe, ptaki, owady różnobarwne jak kwiaty, rajską roślinność i niebo rajskie. Podczas pobytu jego w posępnych murach kolegium wspomnienia te budziły w nim niekiedy przemijającą tęsknotę za ziemią rodzinną; zresztą kochał on i te mury jako widownię swych szkolnych powodzeń i miejsce z którem go najserdeczniejsze łączyły uczucia. Trudno też było o chłopca zdolniejszego i tak sympatycznego dla wszystkich jak Maksym d' Arcy. Pomiędzy profesorami, kolegami, jak i wśród rodzin tych ostatnich, liczył samych tylko przyjaciół. Względy jakich doznawał były tego rodzaju, iż mogły w młodocianej duszy wzbudzić ufność w samego siebie i słuszne poczucie dumy. Tyle starania i życzliwości otaczało go zawsze, iż nigdy osamotnienie nie dało mu się we znaki, chociaż przez długi szereg lat ojca swego znał z rzadko otrzymywanych listów, zawierających zwykle więcej banknotów niż wylanej serdeczności. Świetne postępy Maksa w naukach, jego listy, z których pan d'Arcy odgadywał charakter prawy i rycerski, upajały ojca radością; ale p. d'Arcy krył się ze swoją miłością ojcowską z którą się tylko przed jednym panem Vernon zwierzał. Opiekun Maksyma był rodem z Kanady, ale małżeństwo i wymagania jego zawodu zmusiły go następnie do osiedlenia się w Nowym Orleanie, gdzie z powodu liberalnych dążności uchodził powszechnie za ekscentryka; pan d'Arcy był jednym z najpochopniejszych do strofowania go za to. Ale gdy tajone jego uczucia stłumiły w połowie przesąd, uważał się za szczęśliwego iż miał się przed kim zwierzyć, nie potrzebując się rumienić. Pan Vernon jeździł wielokrotnie do Francyi za swemi interesami i za każdą razą odwiedzał Maksyma. Dzięki temu pośrednictwa, ojciec wiedział że syn jego sowicie jest obdarzo-

ny przymiotami, które i on sam mógł był posiadać, gdyby ich przedwcześnie nie stłumiła lekkomyślność i niepohamowana żądza przyjemności—dławiące zwykle w zarodzie genijusz człowieka.

Dumnym był z syna, godnego wskrzesić stare nazwisko francuzkie w pierwotnej ojczyznie, ale właśnie dla tego powinien był zapomnieć że kropla krwi czarnej zmięszała się z arystokratyczną krwią d'Arcy.

Młody chłopiec żywił zawsze nadzieję że daleka opatrzność, którą czcił pod imieniem ojca, stanie się wreszcie dlań widzialną; to ciągłe oddalenie ich od siebie, było powodem jego pierwszego zmartwienia. Obojętnie przyjął wiadomość że jest bogatym, zato uważniej nadstawiał ucha, ile razy napomykano mu o szczegółach jego urodzenia, lubo nie zdawał się do nich zbyt wielkiej przywiązywać wagi.

d. c. n.

BIBLIOTECZKA DOMOWA.

Dobre dzieci.—Zacni ludzie.—Szkoła mądrości i cnoty w przykładach z życia rzeczywistego, z wielu drzeworytami, spolszczył i własnemi pracami pomnożył Józef Grajnert. Warszawa; nakład F. Hösika, 1876 r. Cena kop. 90.

Są to krótkie powiasteczki z życia osobistości historycznych i prywatnych. Wykazują one przykłady cnót różnorodnych. Szczególniej męztwo, wierność i poświęcenie znajdują tu hołd należny. Treść zaczerpniętą jest głównie z dziejów germańskiego ludu. Szkoda, że tłomacz nie usunął wielu ustępów, dla dziatwy naszej nie zupełnie odpowiednich. Szczególniej opowiadanie „o bohaterskim Gustawie Adolfie“ jest tu zupełnie nie na miejscu. Tłómacz dodał sporą ilość opowiadań, z dziejów naszych zaczerpniętych, jak np. Czarniecki. Męztwo Chrzanowskiej, Wierny Hajduk, Leszek Biały i Goworek, Złote słowa (o Jadwidze), Krzysztof Strzemski i t. d. Językowi zarzucić można niektóre usterki dość ważne; korekta jest fatalną, nie ma prawie stronicy, na której nie napotykałoby się ważnego błędu. Zewnętrzna szata wydania jest bardzo staranną.

Małe kobietki, powieść dla dziewcząt przez panię Whitney, autorkę „Dobrych żon,“ przekład Zofii Grabowskiej. Warszawa, Nakład tłómacza, 1876 r. Cena kop. 90.

Jest to jedna z najbardziej udatnych prac, jakiemi zbogaciło się w tym roku piśmiennictwo, dla młodocianego wieku przeznaczone. Przedewszystkiem zaleca ją szlachetna tendencya, przeprowadzona przytem w formie nader udatnej i dla młodych czytelniczek właściwej. Samopomoc i poczciwa praca cztérech niezamożnych panienek, oto treść zawierająca w sobie nader cenne czynniki moralne. A czynniki te nie są ujęte w formę kaznodziejskiego moralizowania, ale jedynie z samych faktów wypływają. Z nieporównanym artyzmem i prawdą skreślone są charaktery dziewcząt. Co się zaś tyczy otoczenia, obyczajów i zwyczajów, to żałować należy, że w przekładzie nie usunięto wielu rzerzy, niezrozumiałych i niewłaściwych dla młodzieży naszej, jako nacechowanych obcą obyczajowością. Przekład dosyć staranny, choć nie bez pewnych usterek, i ozdobna zewnętrzna forma wydania zaleca również te książeczkę, którą gorąco kilkonastoletnim panienkom naszym polecamy. A jest tu nawet trochę o miłości, ale w takiej formie, że nie zgorszą się czyste duszyczki dziewcząt.

Dobre żony, powieść pani Whitney, przekład z angielskiego Zofii Grabowskiej. Warszawa 1876 r. Cena kop. 90.

„Małe kobietki“ dorastają i stają się „dobremi żonami.“ Mamy tu już szersze ramy powieści, wchodzą bowiem osoby starsze, bardziej rozwinięte duchowo. Stąd też i sama charakterystyka postaci jest tu bardziej skończoną. Przymioty treści i formy są tu te same co i w poprzedniej książce. Jest to w ogóle lektura przyjemna tak dla młodego, jak i dla starszego pokolenia. Niepospolity talent widnieje na każdym kroku. Prawdziwy artyzm, najsubtelniejsze wykończenie wszelkich drobiazgów charakterystycznych, efektowność zupełnie naturalna i w ogóle wszystko, co nadaje nieporównany wdzięk estetyczny podobnego rodzaju utworom, cechuje te książeczkę, którą dorosłym i dorastającym dzieciom naszym żywo zalecamy do czytania. Przekład jest staranniejszy, niż w poprzedniej książce.

Żyd, dramat współczesny w trzech aktach, napisał El-y. Kraków, nakład Dygasińskiego i spółki, 1876 r. Cena kop. 50.

Jak sam tytuł wykazuje treścią powyższego utworu jest pewna strona tak nazwanej „kwestyi żydowskiej.“ Jest to zaiste temat bardzo wdzięczny i na czasie; byleby tylko w należyty sposób był traktowany. Przedewszystkiem bardziej może niż gdzieindziej niezbędnym jest tu grunt czysto realny, wszelkie bowiem zboczenie w tym względzie, stawiając rzecz w fałszywem świetle, zazwyczaj szkodę tylko przynieść może. Odkrywajmy ranę społeczną, ale lekkomyślnie nie powiększajmy jej i nie sprawiajmy fałszywego alarmu, jak to właśnie pan El-y w powyższym utworze swym uczynił. Główny bohater utworu jego Weinberg, inteligentny żyd ochrzcony, jest uosobieniem nienawiści kastowej. Aczkolwiek autor usprawiedliwia jego stan psychiczny wzgardą i upokorzeniem, jakie od dzieciństwa znosić musiał potomek tułaczego plemienia i wypowiada z tego powodu wiele cennych myśli o tolerancyi społecznej, nie ratuje to atoli etycznej wartości utworu.

Podobnej nienawiści kastowej, jaką autor uosobił w Weinbergu w życiu napotkać niepodobna. Jest to w ogóle postać ekscentryczna w czynach swoich.

Ale przystąpmy do samej akcyi utworu. Bohater utworu przepełniony żółcią nienawiści, wylewa ją we wrzących słowach szyderstwa to jawnego, to ukrytego pod szatą udanej pokory. Ostatni nastrój, nie zbyt jasno wycieniowany, nadaje mu nieco dwuznaczny charakter. W końcu dopiero odkrywa się cała nagość tej natury namiętnej i dzikiej. Zręcznemi intrygami przygotowuje Weinberg wielce dramatyczną katastrofę. Ofiarą tych intryg są trzy osoby: Natalia, którą kochał niegdyś całą siłą młodzieńczego uczucia, a w zamian za to ze wzgardą odepchnięty został; mąż jej Władysław Leliwski i kochanek August Skierski. Władysław idzie szybkim krokiem do hańby i upadku finansowego; żona jego opuszcza dom z kochankiem, którego podszczył nasz bohater. Nareszcie ten ostatni przemocą wydziera mu klucz od drzwi, przez które nastąpić ma ucieczka, i stawia się na umówionem miejscu. Natalia poznaje zamianę osób, i następuje scena wzajemnych wymówek. Następnie zjawia się August, a wkróce po niem i Władysław. Rzecz się kończy pojedynkiem, polegającym na losowaniu kto ma sobie życie odebrać. Weinberg staje się ofiarą okrutnego losu. Wspaniałomyślny zwycięzca chce mu darować życie, ale odrzuca tę łaskę i woła z goryczą:

„Ja nie chcę waszej jałmużny! Jam rzetelny człowiek i płacę wszystkie moje długi. Dziś ciskacie mi w oczy swoję wspaniałomyślność, jutro cisnęlibyście mi obelgę, żem stchórzył. Znam ja was! Zarówno w złem jak i w dobrem nie macie wytrwania, i dla tego *zmarniejecie wszyscy i nie pozostanie po was ani śladu! Zanadto mam serce pelne nienawiści, żebym się miał pogodzić z waszym światem, i umrę w słodkiem przekonaniu, że przejdziecie wszystkie stopnie upadku i poniżenia, i staniecie się nędzniejszymi od tych żydów, ktorymi pomiątacie. Dzisiaj chcę tylko zginąć, ale i ona musi zginąć ze mną!*“ Tu następuje wysoce dramatyczna katastrofa. August zasłania Natalię i własną śmiercią życie jej ocala, a niewierna żona powraca na łono męża, przyczem oboje odradzają się duchowo.

Jeżeli przypatrzymy się pojedyńczym postaciom, to przedewszystkiem niepodobna nie dopatrzeć w każdej z nich prawie dwuznacznej wartości moralnej. Szczególniej razi nas postać Natalii. Autor robi z niej męczennicę, istotę wyższą po nad tłum otaczający, niewierną żonę, nie wahającą się opuścić ognisko rodzinne w imię występnej miłości, dumną arystokratkę, a wreszcie nawróconą *nolens volens* małżonkę. Otoż jak różnych pierwiastków moralnych ulepił autor postać tej kobiety. Cały proces psychiczny nie jest tu należycie umotywowany, i typ to w ogóle o chwiejnych i nie jasnych konturach.

Tę samą prawie wartość posiadają postacie Władysława i Augusta. Jeden typ Weinberga odznacza się większą wyrazistością, aczkolwiek grzeszy może wskazanemi wyżej usterkami.

W ogóle panuje tu dziwnie duszna atmosfera moralna, i czytelnik doznaje jakiegoś przygniatającego serce uczucia.

Zaznaczywszy atoli ujemne strony utworu, nie możemy mu odmówić i cennych przymiotów artystycznych. Wiele charakterystycznych bardzo sytuacyj, akcya żywa i wielce interesująca, wiele scen pięknych i porywających, język czysty, jędrny i poetyczny nadają utworowi pana El...ego pewne znaczenie e-

stetyczne. Szkoda tylko, że etyczna wartość jego nie dorównywa artystycznej budowie.

Pierwsze wiadomości o świecie, napisał dla ludu wiejskiego i miejskiego Hip. Bog. Tarczyński. Warszawa, nakładem Redakcyi Przeglądu Tygodniowego 1876 r.

Autor przechodzi tu zwolna od zjawisk najprostszych i najbardziej zmysłowych do bardziej złożonych i oderwanych, od przedmiotów najbliższych do bardziej dalekich. Tak np. chcąc objaśnić obrót ziemi na około słońce i siłę ciężkości we wszechświecie, zaczyna od tak prostego zjawiska, jak przyciąganie laku, potartego o kapotę sukienną. Są tu streszczone najważniejsze wiadomości o świecie: mowi autor o tem, że świat jest bardzo rozległy, objaśnia co się na nim znajduje a szczególniej, jakie zwierzęta, rośliny i minerały są w kraju naszym, dalej objaśnia kulistość ziemi; położenie jej we wszechświecie i ruchy jakie odbywa; mówi dalej o słońcu, księżycu, gwiazdach i kometach; o wodzie, powietrzu i wietrze. Rzadki talent popularyzowania cechuje tę książeczkę. Autor zna dobrze stan umysłowy czytelników swoich i wie w jaki sposób przemówić do nich należy. Szczególniej podziwiać trzeba wielki dar uplastyczniania pojęć i rzadkie zalety stylowe. Słowem pierwsza ta praca dobrze zaleca tanie wydawnictwo książeczek ludowych (cena egzemplarza 7½ kop.), które przedsięwzięła Redakcya Przeglądu Tygodniowego. Panu Tarczyńskiemu radzimy pracować dalej w tej gałęzi piśmiennictwa, tak zaniedbanej, a tak doniosłej. *A. Pilecki.*

ROZMAITOŚCI.

Społeczne.

— W dniu 26 kwietnia odbyły się w Warszawie wybory do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Przewodniczącym na wyborach obranym był p. Walenty Garczyński. Na asesorów powołano p. Ludwika Łaszcza i Janusza Śliwińskiego, na sekretarza zaś p. Kaźmierza Plebańskiego. Głosujących było w ogóle 134. Do komitetu wybrano p. Juliana Komierowskiego (119 głos.), do dyrekcyi głównej p. Jana Łuszczewskiego (50 głos.), do dyrekcyi szczegółowej pp. Andrzeja Bogusławskiego (82 głos.), Adolfa Rzętkowskiego (64 głos.) i Władysława Sokołowskiego (55 głos). Na przewodniczącego przyszłemu zebraniu, księcia Macieja Radziwiłła (34 głos.), a na jego zastępcę p. Władysława Walewskiego.

— Podobno komitet wystawy rolniczej, odbytej w 1874 r. w Warszawie, stara się o pozwolenie urządzenia takiejże przemysłowo-rolniczej wystawy w r. 1878, jak nie mniej urządzenia takowych wystaw co lat parę.

— W tym roku jeszcze Towarzystwo ogrodniczo-sadownicze we Lwowie, ma zamiar urządzić wystawę płodów pszczolnictwa i jedwabnictwa. Termin wystawy naznaczono na wrzesień.

— Zmarł w Warszawie Kajetan Lubicz Niezabitowski, były prezes komitetu cenzury, autor wielu dzieł polskich, litewskich i żmujdzkich — Zmarły miał lat 76.

— W Nowym-Yorku zmarł Aleksander Stewart, w wieku lat 74. Zmarły był jednym z najbogatszych kupców na świecie i posiadał majątku około 80 milionów dolarów. Jak na jednego człowieka to ładna sumka.

— P. Floryanowi Grubińskiemu nadesłano z Londynu patent udzielony przez rząd Wielkiej-Brytanii na wynalazek *żniwiarki* zwanej *Warszawianka.*

— Dowiadujemy się z Kur. War. że w Pradze Czeskiej odbyć się ma podobno międzynarodowa wystawa gazet, dzienników i rękopismów, zwracających swą uwagę na drodze działalności obecnych i dawnych czasów. Komitet ustanowiony do porządkowania przedmiotów tej oryginalnej wystawy, odebrał już dotąd znakomitą ilość materyałów, mianowicie: czeskich (400), niemieckich (1,200), francuzkich i angielskich (po 300); dalej idą hiszpańskie, włoskie, rosyjskie, tureckie, greckie i inne jeszcze gazety. Z Ameryki przysłano 150 gazet; po kilka też egzemplarzy pism peryodycznych z Azyi, Afryki i Australii. Rękopismów zebrano dotąd do 400, w tej liczbie: Puszkina, Mickiewicza, Turgieniewa, Aksakowa, Nekrasowa, George Sand, Dumasa, Bornego, Darwina, z dedykacyą i pierwszym tomem najnowszego jego dzieła. Oprócz tego są rękopisma różnych ludzi znakomitych i znanych, wojskowych i cywilnych, ministrów, jenerałów, śpiewaków i śpiewaczek, aktorów, artystów i t. p.

— W dniu 26 kwietnia odbyło się ogólne zgromadzenie akcyonaryuszów banku dyskontowego warszawskiego.

— Czytamy w „Ruskim Mirze," że dnia 8 (20) kwietnia, Najjaśniejszemu Panu, pomiędzy innemi planami i projektami dróg żelaznych, okazywane były przez Ministra komunikacyj projekta kolei od stacyi Bliżyn, na drodze Iwangrodzko-Dąbrowieckiej, do stacyi Koluszki na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, od tejże stacyi drogi Iwangorodzko-Dąbrowieckiej do Bodzechowa,—dalej linii Kalisko-Łodzkiej, od Łodzi przez Łask, Sieradz, Błaszki i Kalisz do komory celnej Szczypiorno na granicy pruskiej, z odnogą od Sieradza do Wieruszowa,— i nareszcie Kutnowsko-Słupeckiej od stacyi Kutno na drodze Warszawsko-Bydgoskiej przez Koło i Kalisz do komory granicznej Słupcy.

— Czytamy w wiedeńskiej „Pressie" o usiłowaniu Strousberga odebrania sobie życia przez powieszenie.

Literackie.

— Nakładem nowej księgarni Władysława Zawadzkiego we Lwowie wychodzą dzieła Dominika Magnuszewskiego Dzieła te objęte będą trzema tomami. Tom pierwszy zawierać ma utwory lirycznej poezyi i "Niewiastę w trzech wiekach," tom drugi: Dramata, tom trzeci: powieści historyczne i obyczajowe.

— Z dzieł Wincentego Pola: wychodzących we Lwowie na rzecz rodziny zmarłego poety, ukazały się dotąd w Warszawie: tomy I, II, III i V. Tom IV zaś nie nadszedł jeszcze ze Lwowa. Tom V zawiera: Z podróży po burzy, Drobne poezye i pieśń o ziemi.

— Czasopismo Czeskie „Lumir" zamieściło następujące przekłady z polskiego: Arab, Jan Bielecki, Lambro. W Szwajcaryi, Słowackiego;—Pieśń Rolników, Brodzińskiego;—Czarne Domino, Gaszyńskiego; — Ataman Skałozub i Śluby Zaporożca, Czajkowskiego.

— Wyszły we Lwowie nakładem Gubrynowicza i Schmidta następujące nowe książki: „Księżniczka z gminu" powieść oryginalna przez Sędzimira i „Sylwetki" przez Kaźmierza Chłędowskiego.

— Podobno ma wyjść z pod prasy studium F. H. Lewestama „o komedyach Fredry" (ojca).

— „Listy Stanisława Augusta do pani Geoffrin" z objaśnieniami Lucyana Siemieńskiego wyszły w Krakowie.

— P. A. Mokronoski napisał broszurę p. t. „Roadstery, ich użyteczność dla polepszenia rasy koni krajowych."

— Ukazała się w handlu księgarskim książka p. t. „Wypisy francuzkie" przez Augusta Switkowskiego, nauczyciela języka i literatury francuzkiej przy instytucie technicznym w Krakowie.

— Wkrótce ma wyjść na widok publiczny nakładem Gebethnera i Wolffa nowa praca p. Jeleńskiego p. t. „Ziarnka społeczne dla matek naszych."

— P. Kaźmierz Zalewski pisze podobno nową komedyę p. t. „Złe ziarno."

— Wyszedł z druku drugi zeszyt „Prusaków w Niemczech" Tissota.

— Podobno jeden z nauczycieli tłómaczy znakomite dzieło Taina p. t. „Les origines de la France contemporaine."

— P. Antoni Szabrański napisał dzieło p. t. „Rys historyi literatury niemieckiej do połowy ośmnastego wieku." Nakład Gebethnera i Wolffa.

— Wyszedł z pod prasy zeszyt 30 „Biblioteki umiejętności prawnych" i zawiera: dalszy ciąg prawa międzynarodowego prywatnego i karnego Dra. Kasparka. Obejmuje on przepisy o stosunkach rodzinnych i majątkowych, i takież umowy między małżonkami.

Artystyczne.

— Obraz Gierymskiego, przedstawiający „Polowanie" nabytym został za 5,000 rs. w Paryżu.

— Kostrzewski wysłał kilka obrazków swojego pędzla na wystawę filadelfijską. Podobno i Karol Miller, wysyła tamże prace swoje.

— Jeden ze znakomitych malarzy naszych p. Józef Brandt, urządzić ma przez lato w roku bieżącym szkołę malarską w Nowem-Mieście. Szkoła ta ma mieć na celu odbywanie studyów z natury pod kierownictwem p. Brandta. Jest to więc wiadomość bardzo ponętna dla młodzieży początkującej w malarstwie.

— P. Józef Brandt wykończa obraz wielkich rozmiarów, przeznaczony na wystawę paryzką. Obraz przedstawiać ma napad Polaków pod wodzą Koniecpolskiego na obozujących pod Martynowem Tatarów.

— Zmarł w Płocku Józef Prohazka, znany śpiewak poprzednio opery warszawskiej, potem towarzystwa dramatycznego pod kierownictwem Teksla, w wieku lat 35.

— W Paryżu w teatrze opery włoskiej przedstawiono z wielkiem powodzeniem „Aidę" Verdiego, który sam dyrygował orkiestrą. Rodak nasz p. Edward Reszke, brat primadonny paryzkiej opery, śpiewał partyę Arcykapłana i zyskał bardzo pochlebne uznanie krytyki paryzkiej.

— W Krakowie przedstawiono po raz pierwszy komedyę w jednym akcie p. t. „Dwojakie miary" przez Burzana (Zofii Mellerowej). Komedya ta zaleconą została przez konkurs krakowski do grania.

— Podobno mają być ogłoszone w tych dniach trzy konkursy przez Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w królestwie z malarstwa, z rzeźby i z budownictwa.

Дозволено Цензурою. Варшава 22 Апреля (4 Мая) 1876 г.

W drukarni J. Korzeniewskiego. — Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769a (12 nowy).

Wydawca J. Korzeniewski.

Redaktor Henryk Perzyński.